

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

T R E S C: *Polityka:* Stara baśń, p. Adama Nowickiego — Listy galicyjskie, p. Beta — Przed 1 po 1-ym października, V, p. K. R. Żywickiego. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Sylwetki historyczne z XVII w. Krystyna Jezłowska, p. Dr. Antoniego J. — *Życie społeczne:* Do Brazylii. — Związek międzynarodowy prawa karnego, I, p. Leona L. — *Literatura i sztuka:* Literatura niemiecka, p. Ładawę. — Śród muz. VII, p. Cezarego Jelenię. — *Fejleton:* Librum veto, p. Posła Prawdy. — Zdala, p. Z. Atanazego. — O prawdę, p. Dr. Kadlera. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

STARA BAŚŃ.

Kiedy przed ćwierćwiekiem przeszło metternichowsko-bachowska Austria poczęła zapychać olbrzymie niedobory budżetowe konstytucyjnymi opilkami, statut wyborczy dla sejmiku galicyjskiego zaopatrzone w znamiona niesprawiedliwości społecznej, większej, aniżeli w innych prowincjach. Kuryi szlacheckiej bowiem, urzędownie zwanej wielką własnością ziemską, zapewniono górujący wpływ na ustawodawstwo, wpływ, który mógł udaremniać i udaremnia istotnie wszelkie słuszne żądania spowitych w pieluchy miast, oraz okręgów wiejskich. Kilka przykładów podkreśli dobitnie zasadniczą dążność owego statutu. I tak np. kilkudziesięciu obywateli z krakowskiego okręgu większej własności okrzykuje pięciu posłów, podczas gdy Kraków, liczący 80,000 mieszkańców, którzy i umysłowo i pieniądze przewyższają tamtych, rozporządza zaledwie trzema, Lwów zaś o ludności 120,000-iej tylko czterema mandatami. Takie spore miasta, jak Stanisławów, Przemyśl, Tarnów, Tarnopol otrzymały po jednym przedstawicielu, okoliczna natomiast szlachta ma po czterech lub pięciu obrońców swych przywilejów, tudzież uroszczeń. Nie na tem atoli koniec! Jest tam sporo miast, po kilkanaście tysięcy ludności liczących, wzrastających z każdym rokiem, posiadających sądy okręgowe drugiej instancji i gimnazya, a mimo to wtłoczone przez autorów statutu w okręgi wiejskie; rzecz prosta, że ludność wiejska, jako liczniejsza, przeprowadza swego kandydata, którym jest zwykle szlachcie, zresztą podsunęty nieoświeconym wyborcom przez feudalnych agitatorów. To też sala sejmowa przemienia się podczas obrad niejako w duży salon, gdzie rozprawiają ze sobą szlachcie-krewniacy, zukosa jeno spoglądając ku natrętnym intruzom, tj. ku małej garści posłów miejskich i rusińskich.

Podobne stosunki panowały w Anglii... przed 60 laty. Wówczas to połowę Izby niższej, z 658 członków złożonej, naznaczało niecałe 15,000 ludzi. Magnaci wybierali bezpośrednio 97 posłów, pośrednio zaś 70,

wogóle wybór 306 posłów zależał od 160 osób. Książę Norfolk rozporządzał 11 mandatami, lord Lonsdale dziewięciu. Hrabstwo York, najludniejsze z całej Anglii, musiało podczas wyborów tańczyć na nutę, poddaną mu przez lorda Rockinghama; jakie zaś skutki pociągało za sobą nieposłuszeństwo, o tem uczył współczesnych los 527 dzierżawców księcia Newcastle, wypędzonych za to, że śmieli głosować przeciw książęcemu kandydatowi. Wielkie miasta przemysłowe nie miały w parlamencie swych mandataryuszów; t. zw. „zgnile miasteczka” (rotten boroughs) wybierały po 1 lub 2 posłów. Dwa z nich liczyły tylko po 2 domy; 46 nie miało nawet po 50 wyborców, 19 nawet po 100, a drugie 46 zaledwie osiągało cyfry 200. Ubożsi właściciele takich „zgnitych miasteczek” sprzedawali owe mandaty po cenie 10,000 funtów za sztukę. „Trzydzieści i jedna rodzin magnackich, w ziemię zasobnych — pisze Sanford w *Dziejach rozwoju konstytucji angielskiej* — ważyło na szali życia politycznego tyle, co Londyn i dwa razy tyle, co cała Szkocja.”

Bez przesady można twierdzić, iż również i o losach Galicyi rozstrzyga dzisiaj kilkudziesięciu magnatów i kilkuset obywateli ziemskich. Hojnie uposażeni sami znaczną ilością mandatów, zdołali oni nadto przywłaszczyć sobie tajną, demoralizującą agitację mandatów właściańskie. Na zewnątrz usprawiedliwiają to samolubne, kastowe postępowanie sofizmatami o dziejowym powołaniu szlachty. Cała praca ustawodawcza takich szlacheckich sejmów biegła zawsze ciasnem korytkiem chciwej wyłączoneści. Każda ustawa służyła jedynie albo za równię pochyla do stacjana ciężarów podatkowych na barki plebejów albo też za powijaki, kępujące wzrost miast, owych rzekomych ognisk bezbożnej demokracji, oraz czerwonego radykalizmu.

Przyrodnik, obeznany z historią dawnej Rzeczypospolitej, będzie uważał owe objawy jednostronnego życia politycznego za nowe potwierdzenie dziedziczności psychologicznej. Wady przodków ożyły w potomkach; stara baśń odrzuciła płytę grobową i po trzech wiekach znowu wychyla z czeluści swą nagą czaszkę. Przeglądając roczniki sejmiku galicyjskiego, ustawicznie przychodzi każdemu na myśl poglądy Pawińskiego, stwierdzone dokumentami w *Dziejach ziemi kujawskiej*: „Dbałość o interes stanu wyraża się atoli nietylko w dążeniu do tego, aby utrzymać w szacunku klejnot szlachecki, aby

nie dopuszczać do niego niepowołanych, aby się szczerze zamknąć i zasklepić, ale owszem w ciągłym staraniu się o to, aby klejnot nie podlał, lecz się wznosił, wzbogacał i coraz hojniej obdarzał dobrodziejstwami tych, co byli w posiadaniu przywileju i prerogatywy.” Zapewniała sobie szlachta wszędzie pierwszeństwo „z tytułu praw dziedzicznych i urodzenia bez względu na pożytek ogólny.” Instrukcja sejmiku w Radziejowie w 1670 r. żąda, „aby szlachtą dobrą byli — żup arendarze, pisarze na komorach celnych i rolnych, pisarze i faktorzy, pisarze wszelacy skarbowi, tak do kwarty odbierania, jako i do innych prowentów publicznych wysadzeni...” A dla większej skuteczności prawa w tym względzie obowiązującego domaga się kary gardła, oraz konfiskaty majątku „każdego nieszlacheckiego, każdego plebeja, któryby się ważył trzymać takie urzędy lub się o nie starał.” Nawet na dzierżawę dóbr królewskich, duchownych i prywatnych nie chciano nieszlacheckie pozwolić. Dlaczego? Oto z powodu, że „szlachta ma nad wszystkie podległe stany w wolnej Rzeczypospolitej naturalny z urodzenia swego przywilej, że korzystać może z tych wszystkich dóbr jestestwa, rozporządzenia wolności, swobody”, albowiem „krwią, pracą, radą i staraniem antecessorów są stanowione.” Więc w ubieganiu się o dzierżawy zarówno królewskie, jak ziemskie i duchowne powinna mieć pierwszeństwo. Ale pierwszeństwa dobić się nie może przed ludźmi „podlejszego urodzenia”, którzy żyjąc skromnie, mogą wyższe ofiarować ceny dzierżawne. Szlachta siedząc po miastach komorami, szczupłe swoje substancje na bruku zjada, traci wszelką sposobność dorobku substancji i młodzi szlacheckiej edukować nie może... przeto zabronić należy bezwzględnie oddawania warendę jakichkolwiek dóbr ziemskich wszelkim ludziom „podlejszego urodzenia”, mieszczanom, sołtyśom, chłopom, wreszcie i „tej cuchnącej brudnej zgrai — żydom.” Czego nie dokonały takie prawa wyjątkowe, zgodne wreszcie nastrojem ducha z ówczesnymi zapamiętowaniami Zachodu, to osiągnął wysoce niesprawiedliwy rozkład podatkowy uskuteczniany na sejmikach. Czołowe, szlacheckie vel beczkowe, młyńne, akcyza, myto od rzezi, pogłównie nieszlacheckie uciśkały stan średni, podczas gdy na pogłównie ogólne szlachta narzekała, zowiąc je nieznosnym jarzmem, włożonem na karki.” Niechronnem następstwem takiego syste-

LISTY GALICYJSKIE.

Lwów, 18 października.

Otwarcie sejmiku. — Nowy marszałek. — Straż pożarna. — Wydział krajowy i jego przesilenie.

mu rabunkowego — zaznacza Pawiński — było zbiednienie ludności miejskiej, szczególnie zaś zrujnowanie wszelkich rzemiosł i wszelkiego przemysłu miejskiego. I Bobrzyński raz po raz piętnuje chciwość szlachty w stosunku do miast, umyślnie ich rujnowanie wszelkimi administracyjno-ekonomicznymi uchwałami. Skutki takiego pasorzytnictwa wiadome!

Lecz dzisiejsi rodowcy galicyjscy nie umieją korzystać z nauki przeszłości. Jak z ziaren pszenicy, przechowywanych w grobowcach egipskich, wyhodowano po tysiącach lat bujne kłosa, tak tutaj znowu setki burz nie zdołały wytargać z piersi szlacheckich korzeni chciwości bezmiernej. Trzeba przecież spodziewać się, iż czasy i zabiegi mieszczaństwa zwolna przełamia ów upór. Od pierwszej chwili bowiem życia parlamentarnego w Galicyi miasta dążą do reformy ordynacji wyborczej. Długo szlachta pozostawała głuchą na te nawoływania. Lecz przeszłoroczne wybory sejmowe, wiec miejski, późniejsze ataki lewicy sejmowej, dobra organizacja stronnictwa postępowego, nadewszystko zaś coraz silniejsze poczucie niemocy własnej skłania obecnie szlachtę do częściowej kapitulacji. Jej przedstawiciel, Wydział Krajowy w dzisiejszym swym składzie zgodził się na żądanie lewicy, by Kraków i Lwów wybierały po jednym posle więcej, rektor Politechniki lwowskiej uzyskał na równi z rektorami obu wszechnic głos wrotny; na wyłączenie jednak siedmiu większych miast z okręgów wiejskich i przyznanie im po jednym posle nie przystał.

Ta zmiana — to tylko początek reformy, która koniecznie musi nastąpić, jeżeli Galicya chce wejść na drogę prawidłowego rozwoju. Mieszczaństwo, które na Zachodzie już zbliżyło się do początku końca swej roli, w Galicyi ma do spełnienia sporo jeszcze zadań; stanowi ono i na długie dziesiątki lat będzie stanowiło ważny czynnik życia społecznego, równoważnik kastowości szlacheckiej i jej nieumiejętnej gospodarki. Nie praw wyjątkowych mu zatem potrzeba, jeno opieki troskliwej.

Adam Nowicki.

Po nabożeństwach, odprowadzonych „ku wezwaniu Ducha świętego,” zebrał się w południe dnia 14 października w wielkiej sali sejmowej nasi „ojcowie ojczyzny.” Wśród dźwięków „disharmonii,” przygrywającej przed gmachem, zapędniała się sala samymi niemal kontuszowcami, którzy składają się, jak scyzoryki, przed floletami i przedstawicielami rządu. Nieśmiało weszli posłowie włościańscy w siernięgach, zająwszy ostatnie ławki... Skład i cała fizyognomia sejmiku nie zmieniła się prawie. Ta sama, szczupła, z kilku posłów złożona lewica, ta sama prawica, tworząca ze środkiem nieokreśloną „unię.” Zmieniło się chyba tyle, że na krześle marszałkowskim zasiadł nie hrabia, ale książę, aby tem właśnie — jak powiadają naiwnie — „imponował c. k. namiestnikowi.” Miejsce prof. M. Bobrzyńskiego zajął radca dworu wice-prezydent Rady szkolnej M. Bobrzyński... na co namiestnik w przemówieniu, przedstawiającem wysokiej Izbie nowego marszałka, szczególniejszy położył nacisk, dodając, że „Izba sejmowa wyraziła zapatrywanie, iż pragnie mieć p. Bobrzyńskiego wice-prezydentem.” Jakkolwiek nie dochodzą wszystkie głosy Wysockiej Izby i jeszcze wyższego rządu łożu dziennikarskiej, którą umieszczono gdzieś na szarym końcu, może dlatego, ażebyśmy nie wszystko dokładnie słyszeli... stanowczo jednak twierdzimy, że *zapatrywania takiego Izba nie wypowiedziała nigdy*, poprostu dlatego, że podczas uchwalenia ustawy o wice-prezydentostwie nikt nie mógł odgadnąć, że nim będzie prof. Bobrzyński. Jeszcze gorsze wrażenie zrobiła bezbarwna, cicha mowa księcia-marszałka. W pierwszych jego słowach, rzucanych tym, którzy do pnia samorządu naszego przykładają siekiere, oświadczył wprawdzie, że chce być stróżem samorządu, praw politycznych i narodowych Galicyi, orędownikiem interesów kraju wobec rządu, czy wszakże czyny odpowiadają tym szumnym obietnicom? Politycy widzą w dalszej czę-

ści jego mowy, w której wyraził wprost, że „zrobić ofiary ze swych przekonań nie chce ani nie potrafi,” znak ponownego przesilenia marszałkowskiego; dla nas jest ta samodzielnosc księcia-pana *jedynym* dodatnim momentem. Po za tem utonęło zagajenie całe w idealnej „harmonii kraju z rządem,” w pochwałach ekscelencji c. k. namiestnika i świetności parlamentarnej kroniki sejmowej itp. W końcu zaznaczył marszałek szczerze, iż nie zgadza się z pojęciami polityki broniącej przez naszą mieszczańską lewicę. Polityka ta nie zdoła, zdaniem jego, podnieść kraju ekonomicznie. Są to niejako ziarna, rzucone na grunt w nadziei, że stokrotny plon przyniosą, lecz plonu tego wtedy tylko spodziewać się można, jeżeli ziarno padnie w glebę należycie przygotowaną. Do materialnego podniesienia kraju potrzebny jest kapitał o wiele większy, niż ten, którego fundusz krajowy nawet przy największym wysileniu mogłby na te cele dostarczyć; tym kapitałem jest praca i inteligencja mieszkańców.

Zaledwie posłowie nasi przekroczyli progi gmachu sejmowego, a już z podwawelskiego grodu dochodzi ich odgłos „straży pożarnej,” dmącej na alarm przeciw niebezpiecznym rzekomo żywiołom, podnoszącym w „pokątnych” robotach „hasło polityki ludowej, czyli rozdziału kast, podkopania ufności włościan do warstw wykształconych” itp. Na dowód tego przytacza organ „naszych nieprzejednanych” przestraszający fakt: „wybór jeszcze jednego chłopca do sejmiku.” Żąda tedy Czas (bo i któż inny, jak nie on potrafiłby tak dobrze stare wycinać kuranty), aby Izba poselska w imię harmonii i ładu społecznego, zgromiła przedewszystkiem tych wybrańców ludu, co się herbem nie pieczętują i ręce zbyt mają od pracy zgrubiałe, za to, że odważyli się zasiąść na ławie poselskiej... to samo stać się powinno z tymi, co śmieli sięgnąć po godność reprezentantów w chwili, gdy taż sama żądała pałało „uprawnione” do tego serce jednego z koteryj rządzącej. Komisya sprawdzająca rzeczywiście zawiniła tutaj srodze, gdy zamiast *antenatów* posła, liczyła głosy wyborców, przezeń zdobyte i temu mamy do zawdzięczenia, że w sejmie tak „niedobrane” zasiadło towarzystwo.

Wszystkie dzienniki galicyjskie zgadzają się w tem, że kres przesilenia marszałkow-

SYLWETKI HISTORYCZNE Z XVII W.

KRYSTYNA JEZIORKOWSKA ¹⁾

Po pięććroć śluby ponawiała małżeńskie. Przodkowie jej należeli do rzędu drobnej szlachty, osiadłej na gruntach starostwa kamienieckiego; jeszcze w połowie XVI w. władali częścią Wróblowiec — na innych dwóch częściach, sporej skądinąd wioski, siedzieli Zieleniecki i Witalczowski ²⁾; toż i w Paniowcach Zielenieckich, które dziedzieli, spotykamy te same trzy rody ³⁾, a w 1578 r. przybywa im czwarty kompan w osobie Dobromirskiego ⁴⁾; dopiero połączenie się z Smiotankami popchnęło Jeziorkowskich na szerszy gościniec krescytywy; właśnie tym szczęśliwym był p. Walenty h. Rawicz, miecznik podolski, ożeniony z Anną Smiotankową, chorążanką podolską; małżeństwo spokrewniło go z Potockimi, już wówczas używającymi rozgłosu, Strusami, Kalinowskimi, Chocimierskimi, Łaszcami Tuczapskimi, a obok pokrewień-

stwa dawało i wcale niezłą fortunę, którą przy szczęściu łatwo było powiększyć. Pan miecznik miał dwie żony — z owej wyżej wspomnianej dwie córki zostały, z drugiej, także Anny Zaleskiej h. Topor — jedną; męskiego potomka nie zostawił, na nim też ród wygasł. Otóż właśnie najstarszą córką, z Smietankowej zrodzoną, była Krystyna, średnią Helena za Krzysztofa Dzierżka żmówiona, najmłodsza Marya, po dwakroć powtarzała śluby — *primo voto* Silnicka, żona Piotra wojskiego Kamienieckiego, *sec. voto* Adamowa Matczyńska — dzieci nie miała wcale.

Uporaliśmy się z genealogią, a potrzebna nam była dla bliższego poznania gniazda, z którego pochodziła kobieta, występująca w tem opowiadaniu. Krystyna przyszła na świat w 1620 r. najpóźniej, rodzice jej mieszkali w Paniowcach Zielenieckich, położonych na prawym brzegu Zbrucza, oddalonych o lekkie trzy milki od Kamieńca. Kiedy poślubiła Pawła Świrskiego h. Szalawa, miecznika także podolskiego, rotmistrza J. kr. mości, tego nie wiemy; dość że kilka lat z nim spędziła w małżeńskim stanie, że dzieci nie miała, jak i z następnymi mężami, że temu pierwszemu dożgonnemu towarzyszywi uczyniła pewien zapis, że wreszcie straciła go na polu walki, pod Zborowem w 1649 r. ¹⁾.

O dwóch następnych małżonkach jeszcze mniej posiadamy szczegółów. Drugim był

Kondracki, rotmistrz z 1653 r., trzecim Owilichowski ¹⁾. Czy mężowie jej tak się nazywali, czy inaczej, mniejsza o to, dość że po zgonie Krystyny, kiedy szło o sukcesję po niej, w aktach urzędowych występuje jako *ultimo Dziewanowska, post fata priorem quatuor maritarum* ²⁾. Pożycie z drugim i trzecim mężem chyba wypełniło lat dziesięć, bo już w 1660 r. występuje jako małżonka ślubna Jerzego Wołodyjowskiego, stolnika przemyskiego. Matkę straciła w dzieciństwie, macocha także ją odumarała dawno, ojciec przeniósł się do wieczności w 1662 r., a kiedy przyszło do działu między siostrami, nie obeszło się bez sporu, stąd potrzeba sądu polubownego, więc udały się strony do przyjaciół i oto w Kamieńcu na d. 23 maja 1663 r., stanął dekret podziałowy, usankcjonowany przez uproszonych *ad hoc* Mikołaja Potockiego, generała podolskiego, Franciszka Kazimierza Rzewuskiego, stolnika ziemi Łukowskiej, podstarościego grodzkiego kamienieckiego i Michała Chodyjowskiego, pokrewnego męża pani Krystyny. Dział ten dotyczył tylko majątności w ziemi, znajdujących się w województwie podolskiem, choć rozrzuconych po całym jego górnym obszarze. Stało więc na tem: Malejowce — w okolicy Jarmoliniec — dostała Matczyńska, tj. najmłodsza Jeziorkowska, Filipowce (dziś nie egzystujące) i trzecią część Zi-

¹⁾ Ideal Jerzego Wołodyjowskiego. Szkic ten przedstawia bohaterkę powieści Sienkiewicza w świetle historycyne, Red.

²⁾ *Zródł. dziej.* XIX, 195, 228, 302.

³⁾ Tamże, 197.

⁴⁾ Tamże, 284.

¹⁾ *Panow. Władysława IV i Jana Kaźm.* itd. II, 91. Papiery rodowe Świrskich.

¹⁾ *Niesiecki*, IV, 494.

²⁾ Wyciąg z akt Lubelskich 1680 r. Archiwum P. Wacława Raciborowskiego pod Kamieńcem.

skiego nie usunął przesilenia wydziałowego, ale jeszcze więcej je zaostriżył. Zachodzi tylko różnica w podawaniu lekarstwa na tę chorobę. Najradykałniejszym okazał się tu — o dziwo! *Czas*, gardlujący za zniesieniem Wydziału Krajowego! Braciszek jego *Przegląd lwowski* wystąpił z projektem, utworzenia nowych dygnitarzów-dyrektorów do kierowania pracą, a puszczenia starych radców na trawę — *Gazeta narodowa* spodziewa się naprawy wtedy, jeśli w Wydziale utworzy się jeszcze jeden departament dla kultury krajowej. Mocno interesowana *Nowa Reforma*, której współredaktor jest radcą Wydziału, domaga się gorąco oddzielenia laski marszałkowskiej przewodniczącego sejmowi od pióra naczelnika Wydziału. Onegdaj rozeszła się nawet wieść po mieście, że dla ułatwienia kierownictwa nowemu marszałkowi złożą wszyscy członkowie Wydziału swe mandaty. Obiegają też różne wieści o zamierzonych atakach na Wydział Krajowy. Jedni twierdzą, że ma być dlań zaraz z początkiem sesji sejmowej postawione wotum nieufności, inni, że wybuch nastąpi dopiero przy rozprawie budżetowej i że atak ma się zwrócić osobiście przeciw trzem członkom. Głoszą także, że w Krakowie odbyć się miała narada „wybitnych” z prawników, na której odrzucono projekt „reformy,” ogłoszony w organie *Länderbanku*, a zgodzono się na to jedno tylko, żeby liczbę członków Wydziału powiększyć jeszcze o jednego, tak że on składałby się z 7 członków — z tych 3 wybranych przez Kurye, a 4 przez cały sejm. Cel widoczny: przy wyborach z całego sejmiku konserwatyści bardziej liczą na większość, a więc tą drogą starają się wzmocnić w Wydziale liczbę swoich. Zresztą pomnożenie zastępu wysokich urzędników uważamy za całkiem zbyteczne. Dotychczasowe posady wystarczają, byle tylko należyte siłami były obsadzone, a nie ludźmi, którzy większą część roku przebywają na urlopie, albo próżnią.

Przesilenie to i agonia funduszu krajowego zagrażające bankructwem Galicji, są tak groźnymi atakami dla przyszłości kraju, że przyznać trzeba, iż w tej chwili nie mamy naglejszej sprawy. Najważniejszym więc zadaniem sejmiku będzie wyratować kraj z tak fatalnego a upokarzającego położenia.

Przyczyny przesilenia w Wydziale, pomijając czynniki natury osobistej, wklajające sprawę, tkwią oddawna utajone w samej organizacji tego ciała. Stanowo-kuryalny wybór do Wydziału, „za słabo równoważony wyborem z całego sejmiku,” przeszkadza zarysowaniu się jednej politycznej myśli, czego właśnie potrzeba autonomii, i przeszkadza przy wyborze członków odpowiedniemu zastosowaniu fachowych zdolności, jak nie mniej wytworzeniu się następnie w radzie zespolej dążności. Zakres zadań Wydziału powstawał i rozczłonkowywał się z biegiem czasu na kategorie rozlicznych „agend,” które niezdoływane, lecz przez rząd narzucone, gromadziły się jak warstwy piasku na autonomicznej skale i wytworzyły w stosunku do nikłości wyników pracy ogromną machinę, równie chaotyczną, jak budżet krajowy, olbrzymi... deficytem. Organizm najwyższego zarządu autonomicznego, podobnie jak całość budżetowa istotnych potrzeb krajowych, stała się nawet dla wprawno oka tak trudna do objęcia, jak gdyby chciano umyślnie, aby ogół z zadań krajowych nie widział nic jasno, prócz — ciężarów. Organizacja departamentów równej sobie nie znajduje na całym świecie. W departamencie pierwszym np. łączą się, ale nie wyczerpują, sprawy zarządu powiatów i gmin z melioracyjnymi, z częścią spraw osobistych — że już nie wspomniemy o innych mniejszych agendach, jak kultura torfów itp. I niechże kto powie, czym jest ten departament i jakim uniwersalnym geniuszem, zdolnym na raz myśleć w rozlicznych kierunkach, musi być ten, kto tu zdoła dzielnie kierować!

Najgorzej działałby się z departamentem trzecim — gdyby nie było zstęgo, który powinien być z pozoru wszystkim, a powiadają, że jest zupełnie niczem... W tym trzecim jednoczą się sprawy sejmowe i osobowe, sprawy oświaty bez odpowiedzialności za nią, stowarzyszenia i taksy spadkowe, a przytem fundacye rozmaite i teatr w połączeniu z archiwami... Departament piąty obejmuje szpitale i sprawy higieny, lecz policja zdrowia, która jest otwartą raną społeczeństwa, do niego już nie należy. *Odpowiednio* do takiej organizacji, *nie odpowiadają* rubryki budżetu krajowego departamentom zarządu, a za całość budżetu i jego poszczególnych rubryk nikt — jak

się to już w komisji okazało — nie ręczył Oto jest treść i forma najwyższego zarządu Galicji... W tych warunkach istotnie niepodobna na seryo mówić, ani o naprawie rządu, ani o zakończeniu przesilenia wydziałowego.

Jak każda reakcja znaczy i Wydział krajowy panowanie swe podcinaniem korzeni młodych latorośli — w przekonaniu, że tłumiąc gorętsze dążenia, usuwa z drogi, na której toczą się jej koła, najwłaśniejsze przeszkody. Z gnębieniem młodzieży samodzielniejszej idzie w parze protegowanie wszelkiej „prawomyślności,” pociąganie lokajskich przymiotów karyerowiczów pod hasła najszlachetniejsze, mydlenie wreszcie oczu dających się na pasku wodzić owieczek galicyjskich tem, że „niesforność” pewnych odłamów młodzieży staje w niezgodzie z ideałami społeczeństwa, że sprzeciwia się najżywotniejszemu jego interesom itd. Mała tylko garstka doświadczonych, umie sobie wytłumaczyć, że rządy naszej reakcji mają na celu nie dobro powszechne, ale wyniesienie kilku swoich sług na miejsca intratne, na których można wypchać i swoją i swoich sojuszników kieszeń i podług stałej recepty przerobić poddanych obywateli na wygodne podnóżki.

Beta.

PRZED I PO 1-ym PAŹDZIERNIKA.

V.

Warto zatrzymać się jeszcze nad przyczynami wskazanego powyżej a zaiste olbrzymiego wzrostu społecznej demokracji w okresie ustawy wyjątkowej. Rzecz naturalna, że główne źródło rozwielenienia się prądów społeczno-demokratycznych tkwi w samem ukształtowaniu społeczeństwa kapitalistycznego, doprowadzającego antagonizmy klasowe do ostrej przeciwstawności, dręczącego tłumy pracujące ciągłą niepewnością jutrzejszego zarobku, a nadto gromadzącego je w ludnych ogniskach handlowo-przemysłowych z żywą wymianą myśli. Jest to gotowe zarzewie, oczekujące tylko podmuchu. Wprawdzie przy pewnych warunkach może ono utracić swoje właściwości zapalne. Tak było w Anglii, w latach

leniec — Dzierżkowa, Paniowce zaś Zielenieckie i dwie trzecie Zieleniec — p. Krystyna Wołodyjowska. Dodamy nawiasem, że Zieleniec liczył się do rzędu osad wielkich, miały bowiem podówczas 102 dymów. Ale jeżeli kobieta czwartemu mężowi, oprócz czterdziestoletniego doświadczenia, wniosła sporą fortunę, to i ten mąż czwarty zasobny był w grosz także; oprócz Nowosiółki Kosińkowskiej, prawie w całości będącej w jego posiadaniu, domów w Kamieńcu, były jeszcze i dzierżawy spore — jak choćby Sokół nad Dniestrem położony ¹⁾, a poważne dający dochody; jeżeli do tego dodamy zapobiegliwość, oszczędność, to się czytelnik dziwić nie będzie, kiedy powiemy, że w lat kilka p. stolnik nabył na własne imię dwa takie duże majątki, jak dobra Puchalskiego (Stypińce, Zielone Łąki, Przewrocie i Werbka) i Gabryela Silnickiego (Michałówka alias Świstówka, Błyszczanówka, Szalawa). Małżonkowie z Paniowca Zielenieckich przenieśli się bliżej do miasta — do Sokoła; tutaj bracia Wołodyjowscy (Jerzy i Jakób) kolejno przesiadywali, gospodarując, jak to mówią, pod bronią: wszelkiej czynności w polu wypadało doglądać na czele drużyny, bo *torhaki* tatarskie nieustannie od stepu urzyjskiego zaglądały tutaj, korzystając z niedalekiego brodu, w miejscu kedy Smotrycz wpada do starego Tyrasu. Ostatnie lata przed zaborem tureckim spędzili małżonko-

wie w Chreptowie, gdzie stolnik jako komendant pilnował bezpieczeństwa szlaku, prowadzącego z Kamieńca przez Mohylów, aż do Raszkowa, a właściwie nasłuchiwał, co się dzieje na wschodzie ²⁾. I pani stolnikowa nie zasypiała, jak to mówią, gruszek w popiele; śnać na swoją rękę administrowała spuścizną poojcowską, bo ją w ciągu kilkunastoletniego szczęśliwego pożycia z p. Jerzym znacznie powiększyła: odkupiła od siostrz Malejowce, trzecią część Zieleniec, a może i Filipowce, dokupiła Kutkowce, niedaleko Husiatyna położone, spuścizna to po Jazłowieckich niegdyś (1566), potem podzielona między Dietrichów, Telefusów i Wasilkowskich (1583) ³⁾, co więcej, rozrzućnym Dzierżkom, nieumiejącym rozchodzić pogodzie z przychodem, dając pieniądze i lokuje je na Skrzyńcu i Uchańcu, oddawna własnością Dzierżków będących. Powtarzamy raz jeszcze, że małżonkowie musieli żyć ze sobą dobrze, bo wzajemnie sobie czynią zapisy: pomijamy zapis dożywocia na wszystkich dobrach, dokonany jeszcze w roku 1662 ³⁾, bo to leżało w ówczesnym zwyczaj, potem idą pomniejsze: tak Krystyna darowuje mężowi Paniowce Zielenieckie w r. 1670, on zaś w 1671 lokuje na swoich majątnościach 8,000 zł., przeznaczonych dla dożgonnej towarzyski ⁴⁾.

¹⁾ *Acta historic. Sobiesc.* I, st. 703.

²⁾ *Źródła dziej.* XIX, 200, 225 i 267.

³⁾ Sum. z Arch. Makowieckich, Fas. VI, Nr. 32, str. 217.

⁴⁾ Arch. Makowieckich, Fas. III, Nr. 1, r. 1680.

¹⁾ Wizyta ks. Czyżowskiego, *Zameczki Podol.*, II, st. 355.

Doświadczona kobieta uległa się spodziewanej wojny a zaproszona przez starościny kamieniecką, Świętosławę Potocką, wyjechała z nią do Strzelec, do brzołyńskich starosty... Wieść o zbliżającym się nieprzyjacieli, o zagonach przebiegających wzdłuż i szerz płaszczyzn kresowych, taką trwogą kobiety przejęła, że te ku północy podążyły, kędys do puszczy litewskich. Tam im przywiózł p. Mikołaj Potocki smutną relację o upadku Kamieńca, o zniszczeniu kraju po sam Lwów, o p. Krystynie, o jej nowem wdowieństwie wiadomość. Ledwie po uspokojeniu zupełnem wrócili wszyscy do Strzelec, w okolicy Dubna położonych, stawiła się tu i przyrodnia siostra Wołodyjowskiej, Marya Mateczyńska, także już wdowa po drugim mężu, także bezdzietna. Na Ruś wracać nie było bezpiecznie — dobra podolskie i Wołodyjowskiego i pozostałej po nim wdowy, leżały w granicach ziem zagarniętych przez zwycięzców, a Paniowce Zielenieckie i Zieleniec same tak się blisko tej granicy znajdowały, tak że często rabusie Lipkowie odwiedzali, że osiadać w nich na nowem gospodarstwie zaudało było ryzykownie. Obie więc siostry zostały w Dubnie; tutaj odwiedził je dawny znajomy kamieniecki, p. Franciszek Łukasz Dziewanowski, pisarz ziemski podolski, rotmistrz pancerny, starosta Matwijkowski i Kudyjowski, człowiek poważny — ostatni tytuł, jak i ów militarny nosił więcej dla honoru, (kwestya nawet, czy nie otrzymał ich będąc wdowcem), w militarnych popisach nie gustował wcale, a królewskozyn mu nada-

1850—1880. Wśród nowoczesnego społeczeństwa międzynarodowo - wymiennego prowincja wielkobrajtyjska odgrywała rolę wrzodu, wycieńczającego kapitalizmy innych pojedynczych krajów, a zarówno jej przedsiębiorcy, jak i najmici dobywali stąd grube zyski. Rozwój przemysłu angielskiego po roku 1850, dając tłumom ogólną pewność zarobków, odciągnął je od ogólnej kwestyi społecznej, tak wyraźnie postawionej przez czartystów, pozwolił zorganizować się w trade-unions, a następnie zmusić kapitalistów do dzielenia się łupami z rynku międzynarodowego. Nastaje walka samolubna fachowców pracy o podniesienie swojej jedynie cząstki w dochodzie społecznym; zrzucono się wszystkich dążeń, które wybiegały po za wyduszenie u kapitalistów wyższej płacy i zerwano solidarność klasową ze zwykłymi niezawodowymi wyrobnikami. Inaczej dzieje się w Niemczech. Stanowisko tego państwa na rynku wszechświatowym sprawia, że pierwszym warunkiem dla istnienia kapitalizmu niemieckiego jest względnie niski poziom zarobku, i gdyby najmici chcieli wyszrubować go do wysokości angielskiego, napotkaliby ważną przeszkodę — w ucieczce mnóstwa kapitalistów z kraju. Władze niemieckie, zmuszone do ustępstw klasie najmiej, a jednocześnie zdjęte obawą o losy Benjaminika kapitalistycznego, zwracają się też przedewszystkiem na drogę międzynarodowych reform — oto źródło *Weltschmerz* u Wilhelma II. Zresztą lata ustaw wyjątkowych są poniekąd okresem niesłychanego zastoju interesów, a okoliczność ta naturalnie nie przyczynia się do zażegnania niezgody społecznej, lecz przeciwnie bardziej ją tylko potęguje. Wreszcie po za temi zasadniczymi przyczynami należy wspomnieć jeszcze jedną olbrzymiej wagi: „pozytywną politykę społeczną“ Bismarka, powołującą do życia zabezpieczenie obowiązkowe na wypadek nieszczęścia i choroby, oraz państwową emeryturę dla inwalidów pracy. W samej rzeczy, rok 1883, kiedy przystąpiono do rozpraw nad instytucjami ubezpieczenia na wypadek nieszczęścia, można uważać za chwilę zwrotną w dziejach okresu wyjątkowego. Demokracja społeczna, przeciw której wymierzono reformy, wzrasta odąd szybko. Rzecz ta wydaje się na pierwszy rzut oka dziwną; ktoś wprowadza w życie

pewne, wprawdzie nieznaczne, lecz w każdym razie jakieś ulepszenia i właśnie z tego powodu spotyka się z coraz silniejszą zorganizowaną niechęcią! Lecz przy bliższem wejrzeniu sprawa ta traci swoją nie-naturalność. Zatarł pomiędzy kapitałem a pracą jest tego rodzaju, że ustanie tylko wtedy, kiedy ta ostatnia zabierze całą wartość, przez siebie dodawaną wyrabianemu produktowi. Każda reforma, która dla złagodzenia sporu zaspokaja częściowo roszczenia najmity, tem samem uprawnia dalsze wymagania klasy pracującej i każdy prawodawca, który nie jest przygotowany iść po drodze reform aż do zupełnego unicestwienia porządków kapitalistycznych, zgóry powinien wiedzieć, że swoim postępowaniem przysparza sobie wrogów, zwłaszcza jeśli uczynił on krok pierwszy pod naciskiem głosów najmickich. Bismark stracił z oczu tę prawdę i cała też działalność jego była jedynie wodą na młyn demokracji społecznej, która trzymając się swojej negatywno krytycznej taktyki, przewybornie wychodziła na tem, wyzyskując słusznie reformy jako wynik swojej działalności i ustępstwo dla warstwy robotniczej. Stronnictwo to głosowało, zgodnie ze swymi zasadami, stale przeciw projektom państwowym. I ono żądało emerytury, zabezpieczenia w nieszczęściu, pomocy w chorobie, ale według wzorów demokratycznych. Widzieliśmy zamiary, rozwinięte na zjeździe w Olten. Obowiązująca każdego najmitego organizacja zawodowa, posiadająca zupełny samorząd i własne wybieralne władze, winna według demokracji społecznej, być podstawą dla urzeczywistnienia obowiązkowej pomocy w chorobie i nieszczęściu, oraz dla obowiązkowej emerytury. Tymczasem projekty Bismarka powoływały do życia nowe a drogie urzędnictwo koszarowo-biurokratyczne, zwiększały potęgę centralizacji państwowej z uszczerbkiem związków robotniczych, którym odbierały najglówniejszą podniętę do organizowania się i tem samem rozbiły kadry najmickie, stwarzając zamiast żywej solidarności, wynikającej z samorządu, proste uszeregowanie nazwisk robotniczych w księgach biurowych. Lecz demokracja społeczna, aby pociągnąć za sobą tłumy i uzbroić je przeciw polityce pozytywnej, musiała przedstawić jeszcze inne, zrozumialsze powody swojej krytyki. Nie

trudno to było jej uczynić. „Bismark daje — mówiła ona — lecz sądzicie, że czyni to z dobrego serca? Naprzód przyjrzyjcie się, jaki nędzny ochłap on wam rzuca. Czyż te parę fenigów, które dostaniecie w razie choroby, albo na starość, mają być już zwrotem za wszystkie wasze wysiłki i stratę zdrowia? Nie! Zgadza się z samą zasadą obowiązkowej emerytury, musimy protestować przeciw rzucanemu ogryzkowi i oszczędzaniu kieszeni kapitalistycznej! A wiecie, dlaczego zwracają wam i tę odrobinę zdartego z was łupu? Obawiają się waszej potęgi i przebudzonej świadomości, chcą wam zamyslić oczy. Nie dajcie się uwieść i żądajcie całego równoznacznika waszej pracy!“ I Bismark rzucał kęs po kęsie, a najmici niemieccy, zgodnie zresztą, z rzeczywistością, przypisywał to wszystko demokracji społecznej. „Jeśli 10 naszych przedstawicieli w parlamencie a 500 tysięcy głosów wyborczych zmusiły władzę do takich ustępstw, to jeśli głosów będzie milion, dostaniemy jeszcze więcej“ — rozumował nawet najlojalniejszy robotnik i postępowal odpowiednio.

Po Księciu Żelaznym Wilhelm II zamierza kroczyć dalej drogą pozytywnej polityki społecznej. Można zgóry przewidzieć następstwa. Schäffle w świeżej broszurce trafnie osądza te usiłowania. „Demokracja społeczna zawsze poderwie powagę polityki społecznej u tłumów. Dla każdego, kto wpadnie się w taktykę tej partii, jest widoczną rzeczą, że cała strategika bojowa polega na żądaniu więcej, niż władze dają. Niech one rozwiną projekt umożliwiający wybiecie się wszystkim talentom i geniuszom klasy robotniczej, a demokracja społeczna zażąda tego dla wszystkich najmity. Rząd wniesie reformę prawa hypotecznego, aby ulżyć obdłużaniu chłopskiemu, a ona będzie obiecywała włościanstwu zupełne wymazanie długów. Dążenie do prawodawstwa fabrycznego, unoszące się w powietrzu, zawczasu już przeholowała, wystawiając 8-godzinny dzień pracy dla całego świata. Gdyby władze wysypały odrazu, jak z rogu obfitości, całe mnóstwo możliwych polepszeń, społeczno-demokratyczna przewrotność nie złoży broni!“ I istotnie, to krytyczno-negatywne stanowisko jest obecnie największą siłą stronnictwa. Jedynie żółtodziobki dziennikarskie mogą nawoływać ją do „pozyty-

nym nie oglądał nigdy, bo się znajdowały w ziemi zagarniętej przez Turków, więc i dochodu z nich nie pobierał żadnego, a i własne mienie, choć wielka chudoba, także w rękach barbarzyńców zostało... więc stąd zabiegał o rękę podstarzałej, ale zamożnej wdowy. P. Krystyna, pięćdziesiąt kilka lat liczyła, widocznie jednak w małżeńskim pożyciu pragnęła jeszcze zażyć szczęścia, a że dotąd — czterech rycerscy mężowie — prędko ją osierocali, dwóch z nich nawet zginęło na polu walki, choć nie jesteśmy pewni, czy i dwaj inni w tenże sposób tragiczny nie skończyli swojej doczesnej wędrówki... wołała przeto piątego wybrać z grona spokojnych ziemian. P. Dziewanowski zaś posiadał wszelkie po temu warunki: znał kraj, znał dobrze interesy białogłowy, więc opiekunem mógł być jedynym. Czy długo zaznawali szczęścia — nie wiemy — bo daty ślubowin tej przestarzałej pary nie mamy — pewnem jest wszakże — że Dubna, czy jego okolice nie opuszczali, że w końcu 1675 albo początku 1676 roku, Krystyna de domo Jeziorowska przeniosła się do innego świata, piątego małżonka chować jej nie sądzono. Za to też ten piąty sprawił swojej nieboszczce okazały pogrzeb: kondukt prowadził ks. Jankowski proboszcz dubieński, świątynię zawieszono kirem, toż i konie ciągnące karawan; kosztu w ogóle tej smutnej uroczystości wynosiły 60 zł. węgiersk. Przy zgonie p. Krystyny obecną była jej siostra Matczyńska; wspólnie też z małżonkiem zmarłej wszystkie po niej pozostałe relikwiarze ruchome i nieruchome

me polecieli opiece wyżej wzmiankowanego plebana. P. Jakób Wołodyowski wszedł w posiadanie Taniowiec Zielenieckich, jako zapisanych jego bratu, którego jedynym był spadkobiercą. W Zieleniecach osiadła p. Matczyńska. Ale był jeszcze inny sukcesor p. Krzysztof Dzierżek, zamieszkały w Skrzynnem w Lubelskiem, (ożeniony z Heleną Jeziorowską, rodzoną siostrą Krystyny). Owdowiał już podówczas, ojciec dwóch córek podstarzałych panien i Remigiana Dzierżka, który w tym czasie, jako „tłomacz koronny“ brał udział w poselstwie do Turka Jana Gnińskiego, wojewody chełmińskiego¹⁾. P. Krzysztof wystąpił z pretensjami do sukcesyi, szło niełatwo, oddalenie, ciągle niepokoje, sprawa przechodziła rozmaite instancje, przeciwnicy spotkali się w Lublinie, u p. Kaweckiego, podówczas czernichowskiego, deputata na Trybunał z wojew. podolskiego. Przyszło do burdy: Dziewanowski miał się rzucić na p. Krzysztofa z dobytą szablą, lecz go nieprzyzwolitemi słowy, więc strony rozpoczęły proces, na mocy którego sąd nakazał przywiezienie wszystkich pozostałości po zmarłej do Lublina, nazajutrz po św. Agatonie 1678 r. z zastrzeżeniem, że gdyby Remigian Dzierżek do terminu wyżej oznaczonego z poselstwa nie wrócił, w takim wypadku termin zostaje odroczone. Jakoż ledwie w rok później rozkaz sądu wykonać się udało, ale tu nowa krzyżująca zaszała poswarka między powaśnionymi; nie obeszło się nawet bez

¹⁾ Niesiecki, III. 471.

ofiar... Oto kiedy Dziewanowski, wraz z p. Matczyńską wjeżdżał do Lublina, a za nimi szło kilkanaście wozów wyładowanych spuścizną po Krystynie, dwaj Dzierżkowie, ojciec i syn, na czele oddziału zbrojnego napadli na wędrowców i tuż obok gmachu sądowego, na ulicy Kowalskiej, wszystek dobytek po nieboszczce zrabowali i sześciu ludzi zamordowali. Sprawa tedy kryminalna — zatem wieża i grzywny na winnych, potem znowu p. Remigian wyruszył do Carogrodu jako rezydent, dopiero więc w 1680 r. przyszło do rozpatrzenia sprawy. Zjazd był liczny, naszych z Kamieńca znajomych — najprzód spadkobiercy trzech mężów p. Krystyny — Swirsey, Jakób Wołodyowski, Stanisław Makowiecki i Dziewanowski, Dzierżkowie i Matczyńska z siostrzeńcem Peplowskim; w imieniu Prazmowskiej — chorążyny koronnej (300000 Mikołajowej Potockiej) — Melchior Gniwosz, w imieniu ks. Jankowskiego proboszcza Dubieńskiego — Jakób Kossowski, w imieniu kapituły Kamienieckiej — ks. Lesocynski kanonik, w imieniu kamienieckich Franciszkanów — jeden z mnichów wydelegowany przez przeora ks. Szymona Wiktora Wołodyowskiego. Orzeczenie trybunału w katagorycznych zamkniętych rezolucjach. Brat stolnika przemyskiego, Jakób miedzik latyczowski został nicodwoalnie właścicielem Paniowiec Zielenieckich. Sumę 3,000 zł., wybraną przez niego za 20 piechoty i 2 konie poległe przy obronie Kamieńca, a które się znajdowały pod komendą Jerzego Wołodyowskiego, słusznie

wnego" programu w szrankach tegocześnie- go kapitalistycznego ustroju społecznego. Tę pracę pozytywną będą do pewnego czasu snuły zagrożone w swym istnieniu klasy posiadające ze swoim centralnym komite- tem: władzą państwową, a demokracja spo- łeczna zajmie się tylko wykazywaniem nie- dostateczności tych środków. Równie tylko symplicjusze społeczni mogą wołać: *hosan- na* wobec dekretów i reform polityki pozy- tywnej, lecz dla demokracji społecznej tak- kie głosy byłyby zrządzeniem się całej swojej przyszłości, co więcej, zdradę sprawy — okrzyknąć tryumf może ona tylko po zor- ganizowaniu społeczeństwa według swoich zasad. Rozumie też ona dobrze tę swoją faktkę i nie cofa się przed żadnym upu- stem własnej krwi w razie potrzeby. Wśród partii widziano przed laty 10 sędziwego starca, bojownika z r. 48, zupełnie oddane- go sprawie ludowej. Lecz „polityka pozy- tywna” skusiła Rittinghausena; chciał on głosować za projektami Bismarka i wypo- wiedział zasadę: kto dał — to dał. Usunięto go z partii. Złożył on mandat poselski i u- fny w swoje dobre chęci w okręgu wybor- czym, z którego tylko co wyszedł, postawił kandydaturę przeciw czystemu demokracji społecznej — i sromotnie przepadł... Po tej próbie głosy pozytywne, zwłaszcza li- czne wśród dawnych lasalistów, ucichły i stronnictwo odtąd idzie drogą negatywną, śmiejąc się, że jest „poganiaczem zbyt leni- wym, z robocie wołów” (mowa o działa- czach państwowo-pozytywnych) i że pracę pozytywną zachowa sobie na inne czasy i inne warunki. Główne jej zadanie na dzi- siaj, najdodatkniejsze i najpozytywniejsze, to organizowanie tłumów i przebudzenie świadomości klasowej. Im liczniejszą i bar- dziej świadomą będzie ta armia najmicka, tem władze państwowe będą snuły szerszą politykę pozytywną.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kongres socjalno-demokratów niemiec- kich w Halli, uspokoiwszy burzę wewnę- trzną i załatwiwszy się dość energicznie z odszczepieństwem „młodych,” zakończył swoje posiedzenia nową organizacją stron-

nictwa. Sam on — corocznie zwoływany — będzie ciałem prawodawczym partii, kieru- nek zaś jej spraw spocznie w rękach zarzą- du z siedzibą w Berlinie i organem urzęd- wym *Vorwärts*. Później jeszcze zatrzyma- mamy uwagę czytelników nad tą przemianą; tymczasem niech wystarczą wzmianka, że zjazd w Halli dał zwycięstwo żywiolom umiarkowanym, politykującym, a przyniósł porażkę pierwiastkom gorączkowego czy- nu, anarchii lub warcholstwa. Starzy przy- wódcy rzeszy robotniczej: Bebel, Lieb- knecht, Singer pozostali nadal przy swych buławach, a dawny ustrój — w swej kar- ności. Ostatni ten rezultat kongresu posia- da szczególną wagę. Wszystkie stronnictwa zwyciężają lub mogą liczyć na powodzenie dopóty, dopóki idą w szeregiach zwartych i jednej komendzie uległych. Temu centrum zawdzięcza swoje największe tryumfy, tem pokonywali przeciwników lub opierali się im socjalno-demokraci. Gdyby teraz nastą- pił był rozstrój i rozluźnienie spójności, osłabiłoby ich to na długo, zwłaszcza że po- kusy, które ich wabią z różnych stron, po- ciągnęłyby ku sobie wahających się i słab- tych. Czy rząd niemiecki jest zadowolony ze zwycięstwa oportunistów? Zapewne, u- walniają go oni od awantur, ale zwiększają niebezpieczeństwo powolnego i oględnego działania.

Cesarz Wilhelm postanowił uczcić ro- cznicę urodzin Moltkego wyjątkową uro- czystością. Sprowadził go do Berlina, uda- się po nabożeństwie do jego mieszkania z królem saskim i księżętami, gdzie przed- tem zniesione będą sztandary wojskowe itd. Nie jest to widocznie dogodzenie tylko po- trzebie serca, ale manifestacja polityczna, wymierzona w stronę Friedrichsrufu, dla okazania siedzącemu tam w klatce i mru- czącemu lwu, że jego mileczący wspólnik pogromu Francji zasługuje na większe holdy.

Jeżeli z Austrii nadchodzą jakieś wiado- mości, to zawsze donoszące o zaburzeniach wewnętrznych, bądź politycznej, bądź eko- nomicznej natury. Młodo-czesi obrazili na posiedzeniu sejmowym namiestnika za to, że przemawiał po niemiecku (po czesku nie umie), skutkiem zatargu z Niemcami wy- stawa praska ma być odroczone, wreszcie służba tramwajowa w Wiedniu urządziła bezrobocie. Jest to już drugi wielki jej wy-

buch, a musi w jego środkach spoczywać słuszność, kiedy w rządzie powstała myśl przymusowego wykupienia tramwajów od przedsiębiorców, którzy za daleko posuwa- ją swój wyzysk pracy woźniców i konduk- torów.

Po otwarciu Izb francuskich, które prze- dewszystkiem zajęły się okrawaniem bud- żetu i oszczędnościami, fabrykanci skanda- lu próbowali wywołać widmo bulanzizmu i prześladowaniem podnieść jego wartość. Ale przezorny minister spraw wewnętrz- nych dostrzegł tę pułapkę i oświadczył, że z nieszkodliwym już dziś cieniem walczyć nie będzie.

Król holenderski stał się już zupełnie niezdolnym do rządów, ale jeszcze nominal- nie panuje. Gdy wszakże zniknęła już wszelka nadzieja jego powrotu do zdrowia, Izby mają się zebrać przy końcu tego mie- siąca i ustanowić regencyę.

Chociaż w kantonie tessyńskim przywró- cono dawny ład i rząd, liberalni nie myślą znosić dłużej jarzma klerykałów, a nawet rozszerzają swój wpływ na całą Szwajcar- yę. Usiłują oni z żywiolów pokrewnych całego kraju utworzyć związek dla toczenia walki z wstecznikami. Jak wiadomo, zabój- ca jednego z radców podczas rozruchu tes- syńskiego, Castroni, schronił się do Anglii. Szwajcarya zażądała wydania go, dotąd wszakże pretensya ta, wikłana formalno- ściami, pozostaje niezafatwioną.

Pancerniki niemieckie i angielskie odpły- nęły do sułtanatu Witu (na wschodzie Afryki) dla dozoru nad śledztwem w spra- wie zamordowania kilku Niemców i ukara- nia winnych, którzy prawdopodobnie już dawno uciekli, ale jakiś kozioł ofiarny się znajduje.

Zapowiedziany oddawna zjazd Caprivie- go z Crispim ma podobno odbyć się w Nea- polu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DO BRAZYLII.

Z Mławskiego odbieramy kilka ciekawych objaśnień przyczyny i sprężyn ruchu emi- gracyjnego.

się jako właścicielowi Jakóbowi Wołodyow- skiemu należą, sąd mu tylko 1,000 zł. „t. j. sumę prowizyjną do podziału między współ- sukcesorów” złożyć nakazuje. „Zielenie, za- jęte przez Mateczyńską, zostają jej własno- ścią, jako kompensatę spadkobiercy drugiej siostry Krystyny, mianowicie sukcesorowie Heleny Dzierżkowej, kasują dług, jaki zaciągali u tamtej, opierając go na swo- jem dziedzictwie, mianowicie Skrzynnem i Uchance. Rezygnację Zieleniec uczynio- ną przez Mateczyńską, na rzecz siostrzeńca swojego Wawrzyńca Peplowskiego, Trybu- nał w zupełności zatwierdza. Reszta pozostających majątności po Krystynie z piątego małżeństwa Dzierżanowskiej, mianowicie Kutkowiec i Malejowce (w granicach zabo- ru tureckiego położone) winny pójść do ró- wnego działu między dwie po niej pozostałe siostry. Co do Dzierżanowskiej — Try- bunał nakazuje Dzierżkom zwrócić mu ko- nia podczas napadu zabranego, 600 zł. pol. pogłównego, za sześciu zabitych pachołków (z których 200 należą Mateczyńskiej), po- twierdza jego rachunki pogrzebowe, ale jed- nocześnie rozkazuje wcielić powóz i konie do masy podziałowej, które tenże Dzier- żanowski jako swoją własność przedstawił.

Pretensye chorążyny koronnej Święto- sławy Prażmowskiej uważa za słuszne i poleca zwrot rzeczy do niej należących (kosztowne siodło ze złoceniem wędzidłem, bazydgan, klejnoty i misy srebrne). Ks. Jankowski — uwolniony od wszelkiej od- powiedzialności, gdyż się wykazał dosta- tecznie, jako wszystkie kosztowności, po-

zgonie Dzierżanowskiej pozostałe, złożone u siebie, doręczył prawnym jej spadko- biercom.

Co do pretensyi sukcesorów Świrskiego, pierwszego Krystyny Jeziorkowskiej mał- żonka, a którzy mieli sobie przyznane na pewnej części jej majątku dożywocie, sąd takowe uchyla z powodu przedawnienia, dotychczas bowiem z temi pretensyami nie występowali. Jednak nowa potem musiała nastąpić ugoda: synowiec Pawła Świrskie- go, otrzymał w zamian owego dożywocia część w Malejowcach na dziedzictwo, jak tylko włość rzeczona uwolnioną zostanie z niewoli tureckiej; doczekał się owej pożą- danej chwili, spadkobiercy też jego władali częścią Malejowiec i dopiero Józef de Ro- manow Świrski sprzedał ją w 1785 r. Anto- niemu Onufremu Ostrowskiemu ¹⁾.

Sumy zapisane przez Jerzego Wołodyow- skiego żonie (8,000 zł.), katedrze kamienie- ckiej (2,000) i Franciszkanom kamienieckim (1200), jako oparte na dobrach, pod pano- waniem tureckim zostających, nie ulegają teraz egzekucji. Trybunał pretensyi tych nie kasuje, ściąganie ich odkłada do cza- sów pomyślniejszych, kiedy Podole wró- cone zostanie. Rzecz o kosztownościach mał- żonków Wołodyowskich pozostała nie roz- strzygniętą, gdyż niechybnie Dzierżkowie nie złożyli zrabowanych w Lublinie sprzę- tów — a musiały być znacznej wartości, kiedy należące do Jerzego Wołodyowskie-

go, a pozostawione u jego małżonki, ocenio- ne zostały na 50,000 złotych ¹⁾.

Podaliśmy z drobnostkową ścisłością dzie- je spadku po Krystynie Jeziorkowskiej i jej czwartym małżonku Jerzemu Wołodyow- skim ²⁾, na zasadzie sporu wytoczonego przed Trybunał Lubelski ³⁾, a podaliśmy z pewnym celem; idzie nam o nakreślenie sylwetki kobiety, jaką była istotnie. Z przy- toczonych szczegółów łatwo wyniosko- wać, że białogłowa to powszednia, a że bo- gata, więc mężów zawsze znajdowała łatwo, że mężowie ci łaknęli chleba gotowego u wdowy, nie oglądając się na krasę i mło- dość; toć czwartemu, Wołodyowskiemu w 40 roku oddała rękę, a piątemu w 52 r. poprzysięgła wierność na kobiercu ślub- nym. Poczucia obowiązków właściwego kobietom kresowym brakło jej, stolnika przemyskiego, swego rycerskiego małżo- nka, opuściła w chwili dla niego najgroźniej- szej, wymknęła się na Litwę, choć więk- sza połowa jej kompanek i krewnych, jak matka męża, siostra nawet p. Krystyny, Marya Mateczyńska, zostały na miejscu...

¹⁾ Arch. Makowiecki Fan. III. Str. 36.

²⁾ Z archiwum p. Wacława Raciborowskiego z Ma- kowa pod Kamińcem.

³⁾ Act. Lublini in Judicis Ordinarius.

Dr. Antoni J.

Obłęd ten — a inaczej tego porywu namiętności i kłamliwemu wywołanego pobudkami nazwać nie można — ogarnął całą ludność wiejską. Do Brazylii jadą lub tęsknią wszyscy: zasobni gospodarze, bezrolni wyrobnicy, parobcy i ich żony. Trudno dać wiarę, że jakie ceny wyprzedają się z ziemi, inwentarza, statków i chałup. Dość powiedzieć, że jeden z włościan sprzedawał całe swoje mienie za 140 rs. Gruntem tej gorączki jest niezadowolenie ekonomiczne i chęć wyjścia z obecnego stanu. Grunt ten ujawnia się ze wszystkich dowodów, z najfantastyczniejszych baśni. W blasku skłamanego szczęścia i dostatku za oceanem wydaje się chłopu jego położenie obecne tak obmierzłe, że on pragnie co prędzej z niego wyjść, użyć pomysłniejszej doli.

Dla każdego obserwatora tej dziwnej emigracji ważnym jest pytanie: jakimi środkami agenci zagraniczni zdołali wywołać ów szal? Oto ich lep, który daje miarę ciemnoty naszego ludu i jego łaknień, a zarazem wskazuje, przeciw czemu oddziaływać potrzeba.

Na obiedzie u papieża — opowiadają sobie chłopcy za agentami — zbrali się wszyscy cesarze i króle. „Angliczka“ rzekła: odkryłam nowy, wielki, niezaludniony kraj, Brazylię; dajcie mi swoich więźniów, ale nie zbrodniarzy. Ponieważ inaczej wybuchłaby wojna, więc dali jej nasz lud.

Stary Bismarck — głosi druga bajda — jest wielkim niegodziwcem, ale młody — z całym człowiekiem. Przyjął on katolicyzm i w Brazylii zakłada nową Polskę. Wystawił tam wiele kościołów, sprowadza księży i wzywa lud polski, który w kraju będzie musiał po nowym roku płacić 15 rs. za chrzest, 25 — za ślub, albo przyjmując inną wiarę.

Królowa brazylijska potrzebuje 13 milionów polaków. Jest ona bardzo dobra, miłosierna i daje wielkie zarobki. Nikt tam biedy nie cierpi, bo gdy ubogi człowiek spotka na drodze bogatego pana, dostanie od niego 5 rs. Kraj jest tak bogaty, że złoto można kopać. Każdy dostaje tyle ziemi, ile zażąda, pije kawę, jada ryż, rodzenki, pomarańcze, melony. Lud tamtejszy nie rozumie polskiej mowy, więc gdy go poprosi o sól, nasypuje w miszkę garść cukru. Na okęcie również jest dobrze, a choć do Brazylii daleko, są takie statki, które tylko mkną i w parę dni przelecą morze. Na jarmark do Ciechanowa ludzie stamtąd przybywali i wrócili. Przyjechała siostra pewnego księdza i przywiozła worek pieprzu, który sprzedawała za 24 rs. Jeżeli na morzu ktoś zachoruje lub kobieta rodzi, okręt zaraz przybija do brzegu i po wyzdrowieniu ich jedzie dalej. W drodze zatrzymuje się na wyspie św. Heleny: tam podróżni spowiadają się i komunikują. W Brazylii księża wychodzą na spotkanie ich z procesyą i chorągiewkami, prowadząc wędrowców do miejsca zamieszkania. Ci, którzy zaraz nie znajdują zajęcia, umieszczani są w hotelu długim na dwie mile: każdy dostaje oddzielny pokój, jedwabną kołdrę, jedzenia do woli, a pozostać tam może, dopóki chce.

Z Brazylii jest blisko do wszystkich miejsc świętych: do Jerozolimy 10 mil, a kiedy papież odprawia mszę w Rzymie, to tam słyszeć dzwony.

Panowie, obawiając się braku robotników, przekupili wszystkie dzienniki, księży, a nawet biskupów, którzy odradzają ludowi wysiedlenie się. Zresztą księża czynią to tylko na ambonie, bo na spowiedzi radzą (jest to naturalnie wymysł agentów, bo żaden z opowiadających nie umie wskazać księdza, któryby go zachęcał). Jest tylko jeden dobry pan w Ciechanowie, którego nie przekupili (ale zapewne Moskwie już kupili) i który namawia do Brazylii. Zresztą na wiosnę podążą tam wszyscy panowie, tak, że żaden katolik nie zostanie.

Do jednego z obywateli przyszedł jego sługa i zaczął go nakłaniać, ażeby z nim wywędrował, obiecując, że tam dostanie

ładniejszy folwark i że oni pozostaną u niego w dotychczasowych obowiązkach.

W przytoczonych tu bredniach widzimy zresztą użyte wszystkie te motywy, które na umysł chłopu podziałać i jego wyobraźnię rozbudzić mogą. Obiecują mu bowiem: dużo ziemi, wielkie zarobki, lubione jedzenie, bliskość miejsc świętych, używanie rozkoszy religijnych itd. Jeżeli tylko ciemnota uwierzy w możliwość znalezienia takiego raj, to musi uleść jego ponętom — i ulega. Dotychczasowe wysiłki potargania tej oszalałającej fantazji zawiodły. Chłop nie ufa nikomu, tylko agentowi. Czasem wśród swego otoczenia spotka uwagę, która go nieco zastraszy. Tak np. gdy odurzonym marzycielom ktoś powiedział, że ich przed wsadzeniem na okręt piętnują i znaczą numerami jak bydło, stropili się. Może takich strachów dałoby się znaleźć więcej, ale żeby je wymyśleć, trzeba znać osobliwą wrażliwość i logikę tych dusz prostych lepiej, niż ci, którzy je oświecić pragną.

Według *Gazety warszawskiej*, emigracja do Brazylii rozpoczęła się w powiatach nadgranicznych: mławskim, sierpeckim i rypińskim, skąd zaczęli wywędrowywać zarówno gospodarze, jak najmiej, wyprzedając wszystko.

„Objawem szczególnym w nowej formie wychodźstwa, całkiem różnej od dawniejszej emigracji amerykańskiej, jest to mianowicie, że włościanie wyruszają całymi gromadami, z kilkuset osób płci obojej i dzieci złożonemi, zabierając jako jedyne dowody legitymacyjne — metryki, a za całe ruchomości: pościel i ubranie. Reszty pozostawiają się na wpół darmo na targach w Płocku lub miasteczkach powiatowych, z powodu czego dopęd inwentarza i dowóz drobiu, jarzyn i nabiału na targi ogromnie w ostatnich dniach się powiększył. Emigranci płoccy, udający się do Brazylii, skierowują się na Mławę lub miejscowości okoliczne, pograniczne, do Iłowa lub Działdowa w Prusach, nad samą granicą naszą położonych miasteczek, gdzie dwie agencje różnych towarzystw żeglugi transatlantyckiej zaopatrują emigrantów w karty okrętowe i wysyłają ich partiami po kilkaset kolejną do portów, gdzie oczekują ich specyalne do przewozu parowce. Przed tą całą manipulacją wszakże agencji w Iłowie i Działdowie segregują wychodźców, odrzucając i polecając powracać do kraju słabszym fizycznie i sędziwym, jako niemającym po co jechać do Brazylii, gdzie potrzeba tylko rąk zdrowych i silnych do pracy.“

Osuści obiecują im: 10-letnie zwolnienie od podatków, dwie włóki gruntu z lasami i łąkami, ojcowską opiekę „arcybiskupa“, który rządzi Brazylią itp. Za karty okrętowe w Iłowie i Działdowie pobierają po 50 rs., ile zaś za przejazd kolejną i „informacje“ — nie wiadomo.

Taż sama gazeta odbiera doniesienie z pod Ciechanowca, że tam

„młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety o niczem nie radzą, tylko o złocie, klejnotach, bogactwach i olbrzymich zarobkach w Brazylii, które jakoby papież darmo rozdaje tam katolikom! Emigracja rozwinęła się szczególnie w powiaty bielski i białostocki, przytykających do Królestwa Polskiego. Po małych miasteczkach można dostać za beczkę: krowy, trzodę chlewną, kożuchy i sprzęty domowe odurzonych szaleńców wychodźstwa włościan i wyprzedających się na gwałt ze wszystkiego. Przekupnie nabywają wszystko za grosz marny, robiąc na tem korzystny interes. Jest obawa, że niektóre gospodarstwa będą musiały zawiesić wszelką pracę dla braku rąk, które podążyły na kraj świata za urojoną gwiazdą szczęścia.“

Według *Kuryera warsz.*, wspomniane wyżej agencje sprzedały już w tym roku około 3,500 kart za 175,000 rs.

Pismu temu donoszą z Konina:

„Wychodzą nie tylko ubodzy wyrobnicy, lecz i posiadacze mniejszych osad, to też w wydziale hipotecznym aż się roi od interesantów. Włościanie sprzedają grunty za beczkę, nieznajdący zaś nabywców zapisują osadę komukolwiek

z krewnych. Sprzedają też wszystkie rzeczy i wszelkie sprzęty.

Wychodzą z okolicy, nie mogąc u siebie na wsi pozbyć się rzeczy, przyjeżdżają do miasta i tu urządzają kompletne targi pociejowskie.

Od jednej z kompanij emigrantów słyszałem takie bajki: Przed 14 laty już wyjechało do Brazylii mnóstwo ludzi; było im tam bardzo dobrze, gdy naraz dzieć się zbuntowali i wszystkich naszych wymordowali i zjedli. Zebrali się tedy monarchowie na naradę i ciągnęli losy, komu w udziale dostać się ma Brazylię, by się nią opiekować; los ten wyciągnął papież. Przez trzy dni Ojciec święty nie nie jadł i nie pił, tylko wciąż się modlił, by mu Pan Bóg dopomógł do trudnego dzieła, to też Pan Bóg wysłuchał Ojca świętego, bo wszyscy dzieć zaraz tam wymarli, nasi zaś tam jadą, bo zachęceni są do tego wyższą siłą.“

Z Kalisza:

„Kontyngens wychodźców rekrutuje się przeważnie z pomiędzy włościan bezrolnych, którzy stanowili dotąd główną siłę roboczą w większych majątkach; gdy szeregi ich przerzedzą się, prowadzenie gospodarstwa zostanie w wysokim stopniu utrudnione. Powstała stąd próżnia prawdopodobnie z czasem zapełni się i na miejsce emigrantów przybędą inni, pomiędzy tymi dwoma momentami jednak może upłynąć spory okres przejściowy i tego właśnie najbardziej obawiają się ziemianie tutejsi.

Znam już wypadek, w którym przewidywany ubytek rąk wywrze o tyle znaczne skutki, iż będzie musiał być zmieniony cały tryb produkcji, wskutek zamknięcia gorzelni, pozostawionej bez robotników.

Perswazyje nic tu nie pomagają, a częstokroć wywierają nawet skutek wprost przeciwny; włościanie bowiem wnioskuje stąd, że muszą być wyzyskiwani, skoro pracodawcom tak chodzi o ich zatrzymanie.“

Z Białegostoku:

„Jadą włościanie i to nie tylko bezrolni; jadą zamożni nawet mieszcianie, jak to miało i ma miejsce np. w Suraziu; emigrują robotnicy fabryczni, drobni oficjaliści, stosunkowo niezłe dotychczas mający posady, wychodzą wyrobnicy miejscy, słowem jedzie, kogo tylko los zetknie z jednym z zadziwiających zrzeczności ukrywających się agentów lub z namówioną już przez niego i złudnemi obietnicami omamioną ofiarą.

Agitatorowie ci karty okrętowe posiadają w dowolnej ilości, sprzedają zaś je po 5, 4, a nieraz i 2 rs., a nawet rozdają darmo.“

Z Tomaszowa rawskiego:

„Prąd emigracyjny ogarnął u nas całą okolicę. Niema wioski, gdzieby nie mówiono o kilku lub kilkunastu rodzinach kmiecych, wybierających się „za morze — do pustego kraju.“

Według mniemania naszych włościan, w tym pustym kraju „nie ino grunt darmo dają, ale i tyła pieniędzy na dobytek, że ciek nie wie, co z niemi robić! A co u nas chłop z babą bez tydzień nie zarobi, to tam sześciolatek chłopak bez dwa dni, bo i dzieciom nawet we fabrykach płacą na dzień po pół rubla.“

Wszelkie perswazyje, czynione obalamuconym, wprost przeciwnie wywołują skutki. „Dziedzic i ksiądz, to jedna zawdy chodzą droga! Dziedzicowi idzie o robotnika; ksiądz zawdy stronną dziedzica trzymo.“ Oto jest logika, o którą rozbijają się najlepsze chęci.“

Z tejże okolicy donosi korespondent *Kuryera codziennego*:

„Ażeby dać wyobrażenie o ciemnocie tych pielgrzymów do „ziemi obiecanej“, przytoczę rozmowę dwu wyrostków, której sam byłem świadkiem. „Powiedź Jasiek, czemu ty się nie wybierzesz już raz do tej Franzylii, dyć tam figi i pomarańcze tak nisko rosną, że nawet sięgnąć ręką po nie nie trza.“ „A dyć pójdę, tylko teraz to nie można, bo to trza przejść Czerwonem morzem, a ono, widzisz, bez te upały zaśmiardło.“

Z Włocławka:

„Gdy w poniedziałek d. 6 b. m. na pociąg Półdniowy, idący o godz. 3 od Aleksandrowa, ani jeden z dorożkarzy się nie stawiał, dowiedziawszy się policya, iż wszyscy automedoni udali się

w stronę Kowala, osady odległej o wiorst czternaście od Włocławka i to próżnemi bryczkami. Rozstawiono więc czaty i w lesie, na piątej od miasta wiorście, zatrzymano osiem bryczek nalożonych emigrantami. Po dostawieniu partyi do biura p. policmajstra, okazało się, iż emigrantów było 50 osób, różnej płci i wieku, przeważnie robotników z Żyrardowa. Zapytani, kto ich nakłonił do wyjazdu, nie dawali odpowiedzi, twierdząc, że brak zajęcia i mały zarobek, jaki mieli w fabryce żyrardowskiej (!), skłaniają ich do szukania chleba na obczyźnie! Pomimo tego jednak policja wpadła na ślad kilku miejscowych przemysłowików, z którymi partya ta musiała być w porozumieniu, przy ich pomocy usiłując przedostać się za granicę. Winni pociągnięci zostaną do odpowiedzialności, główny zaś sprawca podobno ujęty w Żyrardowie. Jest to znany we Włocławku pilnikarz, który od pewnego czasu porzucił swoje rzemiosło i zaczął bawić się w pana...

Stowo otrzymuje z pow. sierpeckiego następującą wiadomość:

„Do Brazylii przyjmują tylko młodych, żonatych katolików. Przywożą ich najpierw do Marysylvii, a potem na miejsce, pod warunkiem, iż pisać do rodziny nie będą. Rzeczywiście, listy z Brazylii nie przychodzą, podobno bowiem rewidują je tam i jeżeli co niekorzystnego zawierają, niszczą. Widocznie więc nie słodkim musi być żywot biednego emigranta w ojezyźnie Dom Pedra, zastępuje on tam bowiem negra, oswobodzonego z niewoli staraniem wygnanego monarchy. Lecz tymczasem nie wie on nic o tem, a o bałamucony obietnicami żydów-agentów, śni literalnie o złocie i brylantach, które ma zgarniać jak kartofle; to też rzuca służbę, zostawia niewykopane ziemniaki, marnuje chudobę i dobytek, a nawet zagon ojczysty i płynie do Brazylii. Były wypadki, że włókę gruntu za rs. 300 sprzedawano... Cóż więc mówić o służących. Tych nie nie zatrzyma; ani zobowiązanie zaciągnięte, ani zasługi niewypłacone. To też są na pograniczu folwarki dotąd nie obsiane, gdyż rataje i parobcy popłynęli do Rio Janeiro.“

Sprawiedliwość zaznaczyć nam każe, że jakkolwiek w korespondencyach ciągle powtarza się wzmianka o „żydach-agentach“, podane dotychczas nazwiska „naganiaczów“ nie potwierdzają tego wcale. Wyszledzono dotąd trzech łotrzyków w okolicy Białostoku — mają to być, według *Kuryera warsz.*: Kędzior, Bidrycki i Konarzewski.

ZWIĄZEK MIĘDZYNARODOWY PRAWA KARNEGO.

I.

W nr. 22 *Prawdy* z r. z., przedstawiając program IV międzynarodowego kongresu więziennego, wspomnieliśmy w paru zaledwie słowach o Związku prawa karnego. Obecnie z okazji drugiego dorocznego zebrania w stolicy Szwajcaryi! chcemy bliżej zapoznać z nim czytelników *).

Związek międzynarodowy prawa karnego (Union internationale de droit pénal, Internationale kriminalistische Vereinigung) powołany został do życia przed dwoma laty, dzięki staraniom prof. Liszta i Van-Hamela, oraz generalnego inspektora więzień belgijskich, Prinsa. Jako bezpośredni bodziec do utworzenia go należy bez wątpienia uważać powodzenie, jakim coraz bardziej cieszyć się zaczęły nowe poglądy, zaszczerpione na gruncie ustawodawstwa karnego przez niespecjalistów, tj. lekarzów i socjologów. Wobec wyłomu, uczynionego przebojem przez antropologiczną szkołę w chińskim murze t. zw. klasycznej teorii prawa karnego, należało połączonemi siłami wszystkich kryminologów zebrać się do oceny twierdzeń nowej szkoły; należało zbadać, jakie reformy potrzeba wprowadzić do obowiązujących kodeksów, aby usu-

nać wady, wskazane i wyświetlone w pracach Lombrosa i jego licznych zwolenników. Zresztą charakter i cel Związku najlepiej widnieje z ogłoszonego w swoim czasie programu, z którego przytaczamy tylko dwa pierwsze paragrafy, pomijając pozostałe 8, jako dotyczące wewnętrznej organizacji, wyboru członków wydawania uchwał itp.

§. 1. Związek międzynarodowy prawa karnego jest przekonania, że przestępstwo i kara powinny być rozpatrywane nie tylko ze strony prawnej, lecz także społecznej. Ma on na celu przeprowadzenie tej zasady oraz jej następstw w nauce i prawodawstwach karnych.

§. 2. Jako zasady przewodnie i podstawy swych prac Związek przyjmuje tezy następujące: a) Zadaniem prawa karnego jest walka z przestępstwem, jako zjawiskiem społecznym. b) Nauka karna, a zatem i prawodawstwo winny mieć na względzie wyniki badań antropologicznych i socjologicznych. c) Kara jest jednym z najskuteczniejszych środków, jakimi rozporządza państwo w walce z przestępstwem, lecz nie jest ona środkiem jedynym. Nie powinna być zatem odosobniona od innych środków, głównie zaś nie należy zaniedbywać zapobiegających. d) Między przestępcami przypadkowymi a nałogowymi zachodzi istotna różnica w praktyce i w teorii, zatem powinna stanowić podstawę przepisów ustawy karnej. e) Ze względu na to, iż sądy karzące i zarząd więzienny dążą do wspólnego celu, a wartość skazania zależy od sposobu wykonania kary, rozdział przyjęty w kodeksach obowiązujących między władzą sądową a więzienną jest szkodliwy i bezzasadny. f) Ponieważ kara pozbawia wolności, słusznym zajmuje pierwsze miejsce w naszym systemie, Związek szczególną uwagę zwraca na wszystko, co dotyczy ulepszenia więzień i łącznych z nimi instytucyj. g) Co do kar więziennych krótkotrwałych, Związek jest zdania, że zastąpienie ich środkami równie skutecznymi jest możliwe i pożądane. h) W kwestyj kar więziennych długotrwałych, Związek wyraża zdanie, iż należy czas trwania więzienia uczynić zależnym nie tylko od ciężkości (materiałnej i moralnej) popełnionego przestępstwa, lecz także od skutków wywartych przez regulamin więzienny. i) Co do przestępców nałogowych, niepoprawnych, Związek mniema, iż niezależnie od ciężkości czynu, a nawet w wypadkach powtórzenia wykroczeń, system karny powinien przedewszystkiem postawić tych przestępców w niemożności szkodenia przez czas jaknajdłuższy.

Już po ogłoszeniu i rozesłaniu programu wybitniejszym kryminalistom, okazała się potrzeba uzupełnienia go następującą uwagą, umieszczoną w nr. 1 *Bulletin de l'Union internationale de droit pénal*, a to z powodu, iż niektórzy z zaproszonych odmówili byli przystąpienia do związku, nie podzielać w zupełności wszystkich wyżej przytoczonych tez. Związek międzynarodowy — głosi uwaga — bynajmniej nie żąda od członków przyłączenia się do pewnej teorii karnej. Pozostawiając na uboczu czysto teoretyczne spory szkół, ma on na widoku cel praktyczny, mianowicie stopniowe przekształcenie obowiązującego prawa w duchu zupełnego przystosowania kary do celów, do jakich dąży. Każde ustawodawstwo karne powinno nosić cechy narodowe, powinno być w zgodzie z prawdziwym charakterem państwa i ludu, dla którego jest przeznaczone. Lecz z drugiej strony każde ma podstawy naukowe, niezamykające się w granicach danej narodowości. Związek nasz będzie zatem międzynarodowym, odda on do rozporządzenia prawodawcy każdego kraju rezultaty, osiągnięte dzięki wspólnym usiłowaniom. Stowarzyszenie, zamierzające zreformować prawodawstwo na podstawach naukowych, powinno wyraźnie i przynajmniej w ogólnych zarysach oznaczyć cele, do których dąży i podstawy, na jakich w dążeniu swem oprzeć się zamierza. Oto dlaczego związek występuje z określonym programem. Zasady, głoszone w § 2, powinny być poczytywane nie jako

należące do pewnej doktryny, nie jako przykazania nauki prawa karnego, lecz jedynie jako podstawy działalności stowarzyszenia: są one wytycznymi punktami ogólnego kierunku jego prac.

W połowie r. b. Związek liczył ogółem 360 członków w rozmaitych państwach (Niemcy 107, Węgry 49, Austria 32, Holandia 21, Włochy 18, Rosya 17, Szwajcaryja 16, Belgia 11, Francya i Hiszpania 9). W kilku państwach utworzono „grupy krajowe“, które przedwstępnie badają kwestye przyszłych kongresów, dla łatwiejszego zaś porozumienia się członków itp. istnieją wszędzie delegaci, którzy są zarazem przedstawicielami swego kraju. Obecnie w Rosyi obowiązki te pełni prof. Fojnickij w Petersburgu.

Pierwszy kongres odbył się w Brukselli 7 i 8 sierpnia 1889 r. Porządek dzienny obejmował następujące 4 pytania:

- 1) Czy należy zalecać wprowadzenie warunkowego skazania, za przykładem Belgii, do kodeksów karnych innych państw?
- 2) Jakie środki można zalecać prawodawcy dla ograniczenia więzienia krótkotrwałego?
- 3) Jakie są wady obecnego systemu zwalczania recydywy?
- 4) Od jakiego wieku winno się rozpoczynać dochodzenie kryminalne przeciw przestępcom nieletnim? Czy przymusowe wychowanie nieletniego ma być zależnem od spełnienia przez niego czynu przestępnego?

Warunkowe skazanie, poruszone w pierwszym pytaniu, stosowane od lat kilkunastu z powodzeniem w Stanach Zjednoczonych Ameryki, po raz pierwszy w Europie zaprowadziła u siebie Belgia, prawem z d. 31 maja 1888 r. Brzmi ono: „Przy skazaniu na jedną lub więcej kar, gdy kara główna lub dodatkowa, albo przy zlanu kar, nie przenosi 6 miesięcy więzienia, a winny nie był uprzednio skazany za zbrodnię lub występki, sąd może przez motywowane orzeczenie zarządzić, aby wykonanie wyroku było odroczone na pewien przeciąg czasu, licząc od daty wyroku, nie dłuższy jednak jak lat 5. Skazanie uznaje się za niebyłe, jeśli w ciągu tego terminu winny nie ulegnie ponownemu skazaniu za zbrodnię lub występki. W razie przeciwnym obie kary, ta, która odroczoną została i ta, na którą skazany został ponownie, będą wykonane.“ Jak widzimy, prawo to, zamiast kary więzienia za pierwsze wykroczenie, uznaje w pewnych wypadkach za zupełnie dostateczną jedynie groźbę na przyszłość, zawieszając nad głową winnego miecz Damoklesa, który ma go od powtórnego wykroczenia odstraszyć. Według panującej w obecnym prawodawstwie zasady, opartej na metafizycznej teorii sprawiedliwości absolutnej, odwetu itp., każde wykroczenie pociągać musi za sobą odpowiednią karę. *Fiat justitia — pereat mundus*. I ginie, nie świat wprawdzie, ale niejedna jednostka w gruncie uczciwa i nieczepsta, która zhańbiona pobytem w więzieniu, w otoczeniu złoczyńców z zawodu, pokutuje za prostą nieostrożność, nieświadomość lub lekkomyślność, i dopiero po wyjściu stamtąd staje na drodze prawdziwego występkę i demoralizacji. Temu stara się zapobiedz zasada zawieszania kary. Nie dziw też, iż zgromadzenie kryminologów jednomyślnie odpowiedziało twierdząc na pierwsze pytanie, zastrzegłszy tylko uwzględnienie warunków miejscowych w każdym kraju. Co się tyczy rezultatów praktycznych, osiągniętych przy stosowaniu odnośnego prawa w Belgii, stały się one wiadome dopiero teraz, o czym zakomunikował Prins na kongresie tegorocznym. Z ogólnej liczby 284,000, warunkowo skazanych było 13,195 (niecałe 5%), z nich tylko 200 (mniej 1/5%) nie spełniło warunku i uległo ponownemu skazaniu, a więc i karze.

Wykazanie bezużyteczności, a nawet szkodliwości kary krótkotrwałego więzienia stanowi bezspornie wielką zasługę an-

*) Z materiału we wrześniowym zeszycie pisma *Jur. Wiestnik*.

tropologicznej szkoły prawa karnego. Dane i fakty, jakie skrzętnie zebrał Lombroso i Garofalo, rzuciły ponury cień na ten tak powszechny w prawodawstwach środków walki z przestępstwem. Dowiedziano np., że bardzo wielu zлочyńców stara się umyślnie dostać do więzienia, zwłaszcza na czas miesięcy zimowych, uważając je za doskonały hotel bezpłatny. Kongres po długich rozprawach, w których uczestniczyli dr. Benedikt, van Hamel, Liszt i Garofalo, oświadczył się za wprowadzeniem, w miejsce kary więzienia za drobne wykroczenia, 1) rękami spokoju (dobrego sprawowania się) i poręczenia obywateli, 2) kary pieniężnej z uwzględnieniem majątku skazanego, 3) pracy na użytek społeczny.

Teorya poprawy przestępcy, która od początku bieżącego wieku wzięła górę nad dotychczasową teorią odstraszenia, w wielu punktach doznała bolesnego zawodu i rozczarowania. Dość spojrzeć na pierwsze lepsze wykazy statystyczne jakiegoś kraju, aby z cyfr, dotyczących recydywy, czyli powtarzania przestępstw, o porażce tej naocznie się przekonać. Po wszechstronnej dyskusji na tle referatów prof. van Hamela i adw. Lucas-Porto, zgromadzenie przyjęło następującą rezolucję: „Zwalczanie recydywy jest obecnie zasadniczo zupełnie niedostateczne. Za najgłówniejsze wady poczytać należy: 1) błędny podział i jednakowe traktowanie przestępców nałogowych i okolicznościowych; 2) częste wymierzanie krótkoterminowych kar więzienia, wskutek czego przestępcy nałogowi, recydywiści, pozostają zbyt często w społeczeństwie, które od nich niema obrony.“

Ostatnie pytania, dotyczące nieletnich, odrzucone zostały, zgodnie z wnioskiem referenta, sędziego A. Moldenhawera z Warszawy, do przyszłych obrad Związku, a to z powodu, iż miały być rozważane także na IV międzynarodowym kongresie więziennym w Petersburgu. O tym drugim kongresie kryminologów pomówimy w artykule następnym.

Leon L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Powieściopisarstwo niemieckie w oświeceniu francuskim. — Wykłady dramaturgiczne Alfreda Bergera.

Nie można odmówić Niemcom pewnej zalety: są oni bezstronnymi w ocenianiu utworów tych nawet narodów, z którymi politycznie we wrogich pozostają stosunkach. Francuzom zalety tej przyznać nie można: ich książki o piśmiennictwie niemieckim, zazwyczaj obok jaskrawych dowodów nieznajomości, zawierają sądy krzywdzące, i pyszałkowate. Nie bez zdziwienia więc przeczytaliśmy pracę Edwarda Morsiera *) który pragnie zapoznać francuzów z powieściopisarstwem niemieckim i rzadką odznacza się przedmiotowością, a nawet życzliwością. I on wszakże nie posiada dokładnych informacji, chociaż przebywał w Niemczech i wybornie włada językiem niemieckim. Zdaje się, że zna stosunki literackie bardziej z podręczników literatury, aniżeli z życia i obserwacji bezpośredniej, opis jego bowiem stosować się może chyba do minionych dawno czasów, kiedy marzyciele romantyczni zachwycali panią Stael, a Börnego i Heinego do ironii pobudzali. Według niego powieściopisarze niemieccy są przedewszystkiem indywidualistami, partykularystami: każdy pisuje swe utwory tam, gdzie stale przebywa i oddaje koloryt swej małej ojczyzny. Wyraża w nich osobiste cierpienia i radości, odbija drgnienia własnego serca i przemawia wła-

ściwie tylko do najbliższego koła przyjaciół, nie troszcząc się ani o krytykę, ani o publiczność. Zakopują się oni po małych miasteczkach, jak Wiesbaden lub Monachium (!) lub nawet po wsiach, byle tylko ująć oczom ciekawego tłumu. Francuzi zaś wyrażają to, co obchodzi całą ludzkość bez różnicy wyznań i narodowości.

Trudno zgodzić się na podobne poglądy, umieszczone w przedmowie do dzieła Morsiera. Dzisiejsi autorowie chyba do takich oryginałów nie należą, samotności nie szukają, ani nie gardzą krytyką i smakiem publiczności. „Miasteczka“, w których się gromadzą, jak np. Lipsk, Monachium, Dreźnie, Frankfurt itd., nie są znów tak drobnymi, jak się paryżaninowi wydaje; zresztą wiadomo, że autorowie niemieccy obecnie skupiają się w Berlinie, podobnie jak francuzcy w Paryżu. Ci znów chyba tak bardzo o ludzkość się nie troszczą, a we wszystkich niemal utworach nowszej literatury francuskiej indywidualność narodziła, co więcej, miejscowy koloryt paryski występuje wybitnie.

Trafniejsza już jest charakterystyka różnic wychowania francuskiego a niemieckiego. Podczas gdy młodzież francuską żywią ciągle jeszcze klasykami, zmierzając do wyrobienia w niej zdolności retorycznej, niemiecka bynajmniej nie karmi się retoryką. Nie styl, lecz myślenie wyrabia się w szkołach wyższych. Zamiast ćwiczyć się w dyalektycznym rozwijaniu danego tematu, młodzież dąży do samoistności zdania, do krytyki argumentów.

Wstęp jest najbardziej zajmującą częścią dzieła Morsiera. Sądy jego o powieściopisarzach niemieckich nie są ani oryginalne, ani pouczające. Dłuższą charakterystykę poświęca czterem tylko autorom: Spielhagenowi, Heysemu, Freytagowi i Raabemu. Mylnie jednak czyni ich głównymi przedstawicielami czterech rozbieżnych kierunków powieściopisarstwa niemieckiego.

Wykłady dramaturgiczne Bergera, wygłoszone zeszłej zimy we wszechnie wiedzy, pojawiły się obecnie w formie książkowej *) i obudziły żywe zajęcie w kołach interesujących się dramatem i sceną. Autor, docent uniwersytetu i były sekretarz Burgtheatru wiedeńskiego, występuje w nich jako człowiek łączący teorię z praktyką, powołuje się jednak głównie na doświadczenia osobiste, twierdząc, że poglądy swe niejako przeżył w głębi duszy. Dla ludzi postępowych książka Bergera zawiera wiele rzeczy niestrawnych. Jest on umyślnie konserwatywnym pod każdym względem, co mu ułatwia karierę, przeciwnikiem naturalizmu i zdecydowanym teistą; z pesymizmem walczy, ile razy znajdzie sposobność. Od większości estetyków różni się tem, że sztukę aktorską ceni bardzo wysoko, przyznając jej żywiołową, twórczą potęgę. Dramat książkowy dla niego jest potworem literackim; dramat, którego wystawić nie można, porównywa on do obrazu niewidzialnego. Już to porównanie powie czytelnikowi, że Berger goni za dowieciami „światłkami“, poświęcając dla nich często rozum. Pragnąc pokazać się praktykiem doświadczonym, idzie za daleko. Według niego jest to jedną z głównych wad dramaturgów nowoczesnych, że nie pisują dla pewnej sceny, dla pewnej trupy. Za czasów Shakespeare'a poeta, aktor i reżyser postępowali w ścisłym porozumieniu. Dziś zaś poeta i teatr spotykają się ze sobą zbyt późno. Bierze on za złe autorom, że pisują sztuki przy biurku, nie na krześle reżyserskiem. Shakespeare i Molier zadziwiają swą sławę dramatopisarską tem, że byli aktorami! Wszystkie te wywody nie wytrzymują krytyki. Co to za dzieło, które pełnem powodzeniem cieszyć się może na jednej tylko scenie, przez lat kilkanaście, dopóki skład trupy pozostaje niezmienionym? Dramatopisarz prawdziwie

wielki tworzy postacie dla wszystkich czasów, żyjące w sobie, nie sztuką aktora, a dzieło jego na wszystkich scenach równie potężne czynić powinno wrażenie. Z drugiej strony nieprawdą jest, jakoby dziś nie pisano dramatów z uwzględnieniem indywidualności aktorskich i właściwości pewnych scen. Sardou i Dumas czynią to zawsze, w Wiedniu przez lat tyle pisano sztuki zastosowane do właściwości Wolterowej.

Atoli Berger lubuje się w paradoksach i w zrzecznej dyalektyce. W objaśnianiu „Hamleta“ i Grillenparcerowskiej „Żydówki z Toledo“ okazuje istotnie niemało sprytu. Dochodzi wszakże do rezultatu sprzecznego z tem, co głosił poprzednio: przyznaje bowiem, że dramat, który posiadać ma wartość trwałą, koniecznie zawierać musi treść i postacie typowe, utwory zaś o postaciach zbyt indywidualnych rychło ustępują z widowni. Krytyce Berger stawia wymagania, którym ona rzadko zadość czyni. Kto ocenia dzieło umysłu, powinien znać je tak dokładnie, jak autor. Taką znajomość posiada on istotnie w rozbiórce dramatu Hebbela „Gyges und sein Ring“, który dzięki jemu wystawiony został w Burgtheatrze; on pierwszy może zgłębił i objaśnić publiczności wspaniałą symbolikę pierścienia Gygesa i zasłony Rodopy.

Berger w wykładach swych schlebia najbardziej aktorom, wygłosił on je bowiem w czasie, kiedy był pretendentem do krzesła dyrektorskiego w Burgtheatrze. Dziś Burkhardt zajął to miejsce. Berger zaś, ogłaszając obecnie wykłady swe drukiem, okazuje, iż nie zrzeka się swej ambicji. Wątpimy, czy otworzą mu się jeszcze kiedyś podwoje Burgtheatru; ale może inny jakiś teatr niemiecki odda mu kierownictwo artystyczne.

Ladawa.

Ś R Ó D M U Z.

VII.

Po raz pierwszy uczuliliśmy się dziećmi wielkiego miasta. W jesieni, zdala od karawaju i wielkiego postu, poczęstowano nas koncertem, którego nie powstydziliby się żadna stolica Europy...

„Z głową rozstraskaną na poły, z wsadzoną na rozeń jaźnią...“ ach, przepraszam, zapomniałem, że nie jestem krytykiem muzycznym i że mi od przytomności odchodzić nie wolno. Nie popełniłem jeszcze dotąd ani jednej recenzji instrumentalno-wokalnej, więc i teraz wobec tak ważnego „evenementu“ podzielę się z łaskawymi czytelnikami wrażeniem i sądem zwykłego śmiertelnika, zostawiając mu zupełną swobodę zdania.

Przedewszystkiem tedy wyrazić muszę podziw dla p. Rzebieczka, że z pamięci prowadził orkiestrę przez całą IX symfonię Beethovena — wystudytować ją aż do tej biegłości jest nawet dla muzyka zawodowego rzeczą bardzo trudną, powtóre hold złożyć mu muszę za batutę, która w *Toccacie* Bacha i *Kotowrotku Omfali*, oraz w pierwszej części *Hymnu do radości* dokazywała cudów. W dalszym ciągu chóry nader liczne i pierwszy raz pasowane na tak ważne posłannictwo, i wobec wysoko napisanej kompozycji, musiały, zwłaszcza pod koniec strof niedociągać, gubić się i wprowadzać pewien zamęt.

Ofiarowałbym nawet dzielnemu kapelmistrzowi wieniec, na jaki mię stać, gdyby nie upowszechniony u nas, a chyba z Baranich Główn przeniesiony zwyczaj nagradzania „przy okazji“ wszystkich tych, co się przypadkiem znaleźli na estradzie, choćby z krzywdą i nietaktem względem faktycznych uczestników występu.

Wreszcie podziękowanie mu się należy, że wprowadziwszy raz świeży artykuł, bardzo drogocenny i piękny, a mianowicie wspomniane utwory Bacha i Saint-Saënsa, nie zapomina o nich od owej zimy, kiedy

*) *Romanciers allemands contemporains*. Paris, Perrin & C-ie 1890.

*) *Dramaturgische Vorträge*, Wiedeń, Konegen.

je usłyszeliśmy po raz pierwszy, i że energią swą, którą widocznie w wysokim posiada stopniu, zmusił do karności zarówno plebs teatralny, jak „divy,” dziewy i dziwożony, tak imponujące owej niedzieli liczbą, kształtami i... wiekiem. Nawet w tem widzę albo zasługę dyrektora, albo szczęśliwy zbieg wypadków, że waryacka partya Wagnera złożona została w ręce i gardła śpiewaczek, które zdążyły dobrze poznać uroki wiosny, bo tylko takie umieją nie robić fiasca. Co prawda, wielki twórca Lohengrina zzieleniałby ze złości i gniewu na widok cieleco uśmiechniętej i ustawicznie błaznującej twarzyczki jednej z nich, najmłodszej — on co od twarzy i ruchów tak surowo żądał dostrajania się do treści i powagi opery, ale temu już p. Rebiczek nie winień, pomimo iż jest, jak sądzę, wybitnym zwolennikiem Wagnera.

Po *Zaczarowanym flecie* Mozarta, po przesłicznej, poważnej i zlekka pudrowanej Toccatie i perle kompozytora francuskiego, w której nie wiadomo co podziwiać, czy wytworną elegancję, czy melodyjność głównego motywu, czy pyszną instrumentację, czy robotę filigranową — rozległo się żywiołowo-dzikie „hojotohol!” Walkir, mkających przez powietrze na spienionych rumakach, śród piekielnego wycia huraganu.

Wzięto z muzyki przyszłości jeden z najbardziej znamiennych momentów, w którym połączyła się nieokiełznana, wyolbrzymiała tłem puszcz gotyckich fantazyja legendy, trudność melodyi, porwanej na wściekłe, naturalistyczne okrzyki czarownicy i ów wieczny akompaniament Wagnera, który czy w *Parcifalu*, czy *Latającym Holendrze*, czy czarodziejskich *Wieszczkach* robi wrażenie, jak gdyby strop niebieski, cały z kryształu, pękł nagle i padał w mirjadach luczających tęczę...

Zaczynam teraz wierzyć, że zapowiedź wystawienia po odnowieniu i przerobieniu teatru — kilku oper z dalszej twórczości tego samego autora, nie będzie obiecanką-cacanką. Brawo, panie dyrektorze, przekonaj nareszcie zawziętych klasyków, że Wagner, to nie olbrzymia kuźnia, w której tysiąc ciężkich młotów o tyleż kowadeł tłucze i która darząc słuchacza migreną, przyprawia go zarazem o pęknięcie bębenków usznych, lecz że to protest przeciw maszynom choćby najbardziej włoskim, do swawolnego łaskotania słuchu, że to potężne, dramatyczne malowidło, przewyższające Matejzkowskim patosem i potężnym, choć bardziej jednolitym kolorytem — wszystkie dawniejsze rysunki, pojedyncze linie i kontury. Niech się raz nareszcie przekonają, że słaby to argument i umysłowa ciasnota — zatykać z ironicznym śmiechem uszy na kompozycje, które pragną scenę uczynić świątynią, muzykę prawdziwą tragedią, widownię pozbawić charakteru niemieckiej knajpy, i słowem wskrzesić wielkie, sławne tragedye igrzysk Olimpijskich, na których pisywali się tacy jak Sophocles i Eschylus. U nas o Wagnerze wciąż jeszcze mówi się tak, jak mawiał Wolter o Shakespearze — że jest rzeźnikiem. O tego muzycznego rzeźnika ludzie walczą z sobą na Zachodzie aż do szaleństwa — dowodem znakomity, najsympatyczniejszy może dziś pisarz niemiecki Nietzsche. Gnuśność umysłowa ludzi rozpieszczonych melodyjnymi aryami i arietami odwraca się od muzyki, która wymaga od słuchacza jakiejś takiej pracy, ale za to raz oświecony, działa na *człowieka całego*, a nie na same fibry nerwu słuchowego. Ale któżby u nas poszedł do teatru, ażeby — pracować?

Niech jednak który z tak zwanych klasyków ukaże się na afiszu, to choćby był w najprostszej linii poprzecznikiem Wagnera — tłumy pójdą go słuchać. IX Symfonia nosi firmę Beethovena, ale dopatrywać się w niej prostoty i łatwości układu może tylko fanatyk muzycznego obskurantyzmu. Proszę nie zapominać o tem, że idea straszenia opery i powiązania jej strzępów

w jeden motyw przewodni kielkowała już u Mozarta, że dręczyła później po kolei wszystkich i że od symfonij Beethovena już do niej bardzo niedaleko. Nasze nieprzytomne zachwyty nad „IX“ są przedewszystkiem obłudą, kłamstwem, błagą albo zwyczajnym nałogiem fachowców, obelgających siebie samych i odruchowo powtarzających dawne hymny. Nie posiada ona jeszcze wyrazistości realistycznej nowych kreacji, a nie posiada już prostoty innych symfonij Beethovena i robi wrażenie pół-stylu, pół-rodzaju.

Zabawne są owe chwalby dla jej niezrozumiałości! Jak gdyby zawilść i przeładowanie efektami stanowiły warunek arcydzieła. Te formułki utworzyli sobie augurowie, którym wygodnie oddzielać się od tłumu profanów — piętnastoma szczeblami drabiny. Zabawne są owe komentarze w przeddzień koncertu, owe deklamacje i kupy frazesów; przypominają one feljetony objaśniające treść nowo sprowadzonego obrazu... Co do mnie, to wiem tyle jeno, że słyszałem „IX“ wykonaną przez lepsze siły w Monachium i Berlinie — i za każdym razem była ona dla mnie kompozycją na wielką skalę, wspaniałe zakrojona, ale działającą słabo. Jedynie „Hymn do radości,” dzięki wybitnie germańskiemu, szyllerowsko-goethowskiemu kolorytowi i szczerze tryumfalnemu patosowi wywoływał wstrząśnienie silniejsze.

Olbrzymie i prawie zuchwałe ramy tego dzieła bodaj najwięcej budzą podziwu, a że stanowi ono zenit Beethovenowskiego polotu, punkt kulminacyjny jego geniuszu, więc rzecz prosta, że grzech bym sobie i każdemu melomanowi uważał — opuszczenie sposobności słyszenia go bodaj po raz setny. Śmiało więc zachęcam do powtórzenia, byleby nie w Salach Redutowych, w których chóry pisane na tenory i sopranę brzmią krzykliwie, ostro i prawie dysharmonijnie. Poszedłbym nawet dalej i pobudzał do wykonania również charakterystycznej dla indywidualności Beethovena i również trudnej *Missa Solemnis*.

Tylko, przepraszając za bluźnierstwa powyższe, proszę cię jeszcze, czytelniku, o jedno: umówmy się i powiedzmy sobie z ręką na piersi, że tego rodzaju utwory przemawiają zwykle do naszych arystokratycznych, wyrafinowanych, a więc słabych instynktów, zaś zdrowe, silne, szczerze i głęboko wrażliwe instynkta treści i poczci, słowem cały demokratyczny, naturalny rdzeń naszej istoty estetycznej — podczas nich... drzemie.

Powinszujemy jednak sobie, że w muzyce dochodzimy do okresu dojrzałości i że zwykłe bigosy koncertowe tracą monopol prowadzenia...

Cezary Jelenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dramat emigracyjny. — Widomy rezultat naszych wpływów i starań o dobro ludu. — Ofiary ciemnoty i nieufności. — Agent pokonywający wszystkich opiekunów chłopca. — Wynik badań pracowni miejskiej nad wodami gazowymi. — Najskuteczniejsza odtrutka. — Tryumf naszych ogrodników na wystawie petersburskiej. — Wskazanie dla pracy. — Muzeum etnograficzne i bazar rzemieślniczy. — Jakubowski żebrzący o przytułek dla swych kości.

Ludem naszym owładnął straszliwy szal, którego zgubne skutki przekraczają o wiele granice przypuszczeń pierwotnych. Porwane zdradziecką siłą tłumy wieśniaków — zwłaszczą na kresach — opuszczają ziemię, chaty, zarobki, wyprzedają wszystko za bezcen i uciekają jawnie lub skrycie do skłamanego im przez niecnym agentów raj, do Brazylii. W innym miejscu niniejszego numeru znajdują czytelnicy mozaikowy obraz tego ruchu; tu zaznaczymy tylko kró-

tkie do niego objaśnienie. Jest to poważny i w niektórych swych szczegółach bolesny dramat. Bo czy jego bohaterowie, niewinne ofiary biedy, ciemnoty, nicozemnych poduszczeń i dziecinnych marzeń o szczęściu, nie zasługują na głębokie współczucie i nie ulegają tragicznemu losowi? Życie im dokuca niedostatkiem i ciężką pracą, więc pragną wyjść ze swej niedoli. Nie posiadając zaś żadnej wiedzy o dalszym świecie, żadnej ufności do najbliższego otoczenia, zawierają pierwszemu lepszemu kusicielowi właśnie dlatego, że go nie znają i że on ich olśniewa najfantastyczniejszymi opowieściami. „Mędrsi bracia,” naturalni przewodnicy, panowie zawiedli ich, zaniebdali, uposledzili; doradcy sumień — nauczyli spodziewać się poprawy losu tylko od nieba; prostaczkowie zatem w agentach towarzystw przewozowych widzą aniołów, którzy przyszli dokonać cudu i wyprowadzić ich do ziemi obiecanej, gdzie w każdą otwartą rękę spadają ruble, bryły złota i srebra. Można ich było nauczyć pojmowania przestrzeni świata i jego stosunków, ale niepodobna ich dziś doraźnie przekonać, że Brazylija nie leży tuż za granicą i że oni z niej nie będą przyjeżdżali na jarmark do swego miasteczka, że w niej nie słychać dzwonów rzymskich, że żadna królowa nie „ulitowała się nad ludem katolickim,” że papież nie powołuje ich do tej wędrówki i t. d. Wobec zupełnej ciemnoty i niewiary najwymowniejsza argumentacja nie osiągnie celu i nie wytrzyma walki ze zręcznym oszustwem. Cokolwiek przytoczylibyśmy naszemu chłopu przeciw jego wyjazdowi za morze, na wszystko znajdzie odpowiedź w kłamstwach agentów lub własnej nieufności. On, który „panów“ zawsze podejrzewał i posądzał o interesowność, teraz ma wierzyć ich geografii, polityce, życzliwości, kiedy przypuszcza, że go odciągają od szczęścia z obawy stracenia siły roboczej? Tu i owdzie wysiłki inteligentnego ziemianina lub księdza osiągną cząstkowy skutek, ale ruchu masy nie powstrzymają. Masa ta bowiem, stanowiąc grunt nieuprawiony pod zasiew ziaren cywilizacji, ugorujący od wieków, może rodzić tylko bądle, przyjmować chętnie całą tę mieszaninę bredni, którą pełnemi garściami sypią na nią zagraniczni łupieżcy. Jak chłop nasz wobec zdradzieckich pokuszeń stoi bezbranny, tak my wobec jego samobójstwa emigracyjnego. Przerachowaliśmy się fatalnie i teraz widzimy nasze omyłki: głosiliśmy, że lud nasz postąpił w oświacie, a on nam ukazał prerażającą ciemnotę; posądziliśmy go o dobrobyt, a on odsłonił ubóstwo; mniemaliśmy, że posiada nieskończoną wytrzymałość w nędzy, a on zapragnął dostatku; wysławialiśmy dobroczynny wpływ dworu i plebanii, a przekonaliśmy się, że oddziaływanie to jest żadne lub bardzo słabe. Osiągnęliśmy smutne przeświadczenie, że my wraz z całą naszą literaturą ludową, oświatą, zabiegami i środkami nie jesteśmy w stanie przeciwważyć bezczelnych kłamstw zagranicznego agenta. Jakże licha była nasza praca, kiedy nam dała takie owoce! Za winy ojców, którzy głównie zgrzeszyli obójnością względem ludu, musimy dziś być biernymi świadkami straszego dramatu, patrzeć, jak ten lud, który najwierniej i najdłużej dochował swej miłości dla ziemi rodzinnej, porzuca ją i ślepy na niebezpieczeństwo biegnie w przepaść.

A jednakże rękę opuszczać niepodobna. Obok środków, które przeosięgnięła lub przedsięwzięła administracja, a które powinny osiągnąć zbrodniczych agentów najsurowszemi karami, należy rozświecać ciemne głowy biedaków świadomością ociekającej ich zguby. W tym względzie może nieocenioną usługę społeczeństwu przynieść redakcja *Kurjera warszawskiego*, która podjęła zadanie szlachetne i wiele obiecujące. Mianowicie wysłała ona korespondenta do Brazylii, który odbędzie całą podróż łącznie z naszymi wychodźcami, pozna-

ich koleje, zbada warunki życia na miejscu i przesła dokładne sprawozdanie. Opis taki, zwłaszcza z podaniem nazwisk emigrantów, niewątpliwie otrzeźwi tych, którzy w ich ślady wstąpić zamierzają. Jeszcze zaś skuteczniej podziałałyby na nich listy rozczarowanych wychodźców, z Brazylii do pozostałych krewnych pisane. Jeden taki list powstrzyma całą wieś, całą okolicę, zatamuje wylow pewniej, niż wszystkie perory panów, księży i pisarzy gminnych. Na ten środek zwracamy szczególną uwagę korespondenta. Gdziekolwiek bowiem spadła wiadomość o doznanych zawodach w mniemanym raju zamorskim, wszędzie jak piorun druzgotała rusztowania agentów. Jeżeli najwyższem uczuciem w duszy chłopca jest nieufność, trzeba ją w nim obudzić i względem tych, którzy go w zdradzieckie sieci łowią.

A może biedacy rzeczywiście znajdują za oceanem szczęście? — ktoś nam zauważył. I na to pytanie odpowie niezadługo *Kurier warszawski*, któremu winszujemy zaszczytnego pomysłu. Zdobył on się na krok w wielkim stylu prasy europejskiej, którą — według sił — w taki sposób powinna nasładować nasza. Wysłanie korespondenta do Brazylii, zbadanie tego ujścia naszej emigracji, oświecenie jej przebiegu i rozmiarów, powstrzymanie u źródła wiarygodnymi doniesieniami — to dla czytelników pisma i ogółu więcej warto, niż jakies premium, sztuczka wydawnicza lub rozdzicie skandalu.

Pracownia miejska przedstawiła nam nowy i równie pouczający, jak smutny wynik swojej kontroli artykułów spożywczych. Tym razem zbadano wody gazowe, a więc produkt, używany w ogromnej ilości przez całą ludność Warszawy. Wyszedł z naczyń rozbiórowych rezultat, który sprawił niepodziankę nawet pesymistom. Okazało się bowiem, że w Warszawie istnieją tylko cztery fabryki wód gazowych, niezawierających ołowiu lub drobne jego cząstki (Karpinski, Kaun, Hirszfild, Smoczyński), natomiast wyroby czterech posiadają tego metalu w litrze około 0,002 grama, dwunastu — do 0,005, dziewiętnastu — do 0,010, piętnastu — do 0,020, trzynastu — do 0,0300. Nadto w litrze wody dziesięciu fabryk znaleziono od 40,0 do 67,5 miligramów węgla ołowiu. Odkryto również w niektórych miedź, a w t. z. wodach owocowych i syropach: koszenilę, karmel, anilinę (fuksynę). „Powyżej wzmiankowane wyniki — powiada sprawozdanie *Gazety policyjnej* — są zupełnie zgodne z rezultatami rewizyj samych fabryk wody sodowej, z których wiele, zwłaszcza utrzymywanych przez żydów, znaleziono w nader złym stanie i zupełnie nieodpowiadających przeznaczeniu. Przyczyną tego nie tyle są nadużycia właścicieli fabryk, ile ich niedbalstwo, oraz nieumiejętność i zupełny brak wiadomości tak o prawidłowej fabrykacji wód gazowych, jak o środkach niezbędnych do racjonalnego prowadzenia jej.“ Ta okoliczność łagodząca zmniejsza winę, ale nie łagodzi trucizn. Spożywców obchodzi wyłącznie wartość towaru, i dla tego radzę czytelnikom zaopatrzyć się w nr. 209 *Gazety policyjnej* i według niego przy nabywaniu wód gazowych unikać fabryk, które sprzedają produkt dla zdrowia szkodliwy. Należy to czynić zarówno dla bezpieczeństwa osobistego, jako też dla odjęcia fuszerom i truciicielom zbytu. Będzie to najskuteczniejsza odtrutka przeciw ich anilinie, miedzi i ołowiu.

Zwyczajstwo ogrodników polskich na wystawie petersburskiej pozwoliłoby nam całkiem zapomnieć o bólu, spowodowanym tegoroczną porażką naszych foliobutów na torach wyścigowych Cesarstwa, gdybyśmy więcej chwały i dumy narodowej widzieli w ludzkich głowach, niż końskich nogach. Znawca naszych upodobań wie, ile radości lub smutku sprawiają nam telegramy z pola Chodyńskiego, ile nadziei przywiązujemy do Rulerów i Highlandów, podczas gdy wia-

domosć o gradzie medalów złotych, który spadł na pp. Ulricha, Jankowskiego, Kaczyńskiego i innych, przyjęliśmy z zadowoleniem, ale bez zbytniego zapалу. Jeżeli zaś tryumfatorowie naszego ogrodnictwa ujrzą swe oblicza na kartach pism ilustrowanych, to niechże pamiętają, że o lat kilka przed nimi był tam wyrysowany w całej swej dostojnej i chudej postaci słynny Przedświt. Trzeba jednakże uznać postęp, jakimkolwiek on jest. Przypomnijcie sobie starsi czytelnicy, czy przed laty trzydziestu, czterdziestu pomieściłaby się w głowie obywatela ziemskiego, a nawet urzędnika myśl, że jego syn zostanie ogrodnikiem, zwłaszcza ten, który ukończył uniwersytet? Nigdy. Szlachcic i wtedy pragnął mieć ogród prowadzony wzorowo, posiadający rzadkie okazy kwiatów i owoców, urzędnik również marzył o kawałku ziemi w mieście dla przyjemności i rozrywki, lecz żadnemu z nich nawet nie śniło się o poświęceniu dziecka takiemu ordynarnemu zawodowi. A dziś! O ile mi wiadomo, dopiero trzech wychowanców uniwersytetu warszawskiego weszło na tę drogę, a z nich tylko p. Jankowski z wielkim powodzeniem. Niewątpliwie jednak dobry przykład pociągnie wielu innych, gdyż coraz słabiej pachną nam posiadki kilkusetrublowe i coraz lepiej rozumiemy, że powinniśmy zwracać się ku pracy produkcyjnej, niezależnej. Świetny tryumf naszych uczestników na wystawie petersburskiej będzie ważną pobudką w tym kierunku, tembardziej pożądaną, że ogrodnictwo jest u nas jeszcze w znacznej części polem ugorującym i że ono posunąwszy się w rozwoju, podniesie dobrobyt krajowy. Ma swoje bardzo żywotne Towarzystwo, ma swój organ, ma znakomite wzory i rezultaty, ma warunki pomysłów, potrzeby i szeroki rynek dalszego zbytu — ma więc przyszłość, która zachęca do pracy i obiecuje nagrodę. Ale wymaga gruntownej wiedzy, rzetelnych trudów, rozbratu z wielkopąską pychą, umiłowania i uszanowania zawodu, tego wszystkiego wreszcie, co wysiłkom ludzkim pozwala osiągać najwyższe cele kultury.

Ozy Towarzystwo aklimatyzacyjne narodzi się jako pogrobowiec Zwierzynca, ani ojcowiec nieboszczyka, ani przyjaciele powiedzieć dotąd nie umieją. Stoiśmy ciągle wobec ruiny, której gruzów nikt do nowej budowy zużytkować nie chce. Współczucie dla konających lwów i tygrysów zatarło zupełnie w pamięci ogółu śmierć innej instytucji, która jako zarodek w łonie Zwierzynca wraz z nim umarła. Mówimy o Muzeum etnograficznem, które miało być kiedyś zbiorem okazów, objaśniających życie innych ludów i naszego. Projektowane Towarzystwo aklimatyzacyjne utrzymałoby ten dział, jako jeden z najważniejszych; ale ono dotąd jest tylko mgławicą dobrych chęci. Tymczasem takie muzeum, jako środek kształcenia społecznego, posiada wielką doniosłość. Jeżeli młody francuz, anglik lub Niemiec chce się zapoznać ze światem zwierząt, z historią marynarki, budową mostów, postaciami broni, tkanin, ubiorów itd. — ma najrozmaitsze instytucje publiczne, które jego pragnieniom zadość uczynią. A gdzie nasze dziecko zobaczy — już nie powiem — model pancernika lub strzały algonkinów, ale zwykłe sukmany i spódnice kurpiów lub kujawiaków? Na obrazkach — jeżeli do drogiego atlasu lub książki dostęp znajdzie. Wiele osób, doszedłszy drogą przypadku lub starań do zbioru ciekawych tego rodzaju okazów, pragnęłoby go ofiarować na użytek publiczny — i komu je odda? Oto np. p. Janikowski przywiózł z Afryki dość obfity zasób przedmiotów — i co z nimi robi? Urządza z nich plataną wystawę, a potem sprzedaje jakiemuś magnatowi dla użytku jego znajomych, lub też złoży w piwnicach. Ile takich prywatnych zbiorów już u nas zmarniało! Z pewnością możnaby z nich utworzyć bogate muzeum etnograficzne.

Na nieszczęście my nie pojmujemy je-

szcze społecznego znaczenia takich instytucji, a nasi milionerzy są albo zbyt samolubni, albo po za dobroczynnością i kościołem nie znajdują godnych celów dla swej ofiarności. Na dowód czytamy w *Kurjerze warszawskim*: „Wiadomość o zamiarach kapitalistów francuskich założenia w Warszawie bazaru wyrobów francuskich *zbudziła z uspienia* komisję, której powierzono sprawę założenia bazaru rzemieśniczego...“ Dzięki zaś temu snowi, „jeden z tapicerów tutejszych, urządzając dla pewnego magnata salon w stylu wschodnim, zmuszony był pojechać do Berlina, gdzie w „Gewerbe-Museum“ znalazł motywy do rysunków.“

Gdyby zmarły ks. Adam Jakubowski żył jeszcze, możeby w swoim zapisie ujął nieco nagród konkursowych za prace naukowe i wsparł muzeum etnograficzne lub bazar rzemieślniczy. Ale niestety, on nie tylko umarł, ale po śmierci jest tak biedny, że nie ma własnego grobu i zarząd cmentarza Powązkowskiego wymówił mu nieopłacone komorne w katakumbach, grożąc wyrzuceniem do wspólnego dołu. Podobno — jak zapewniają pisma — dwie litościwe osoby objawiły gotowość dania mu przytulku w swych grobach rodzinnych, ale nie wiadomo, czy znowu kiedyś nie będzie musiał się wynieść. W każdym razie jest to ładny i wymowny obrazek naszej trwałej pamięci o ludziach, którzy żyli miłością dla swego społeczeństwa, a umierając, oddali mu wszystko. Z dziesiątków tysięcy rubli, pozostawionych przez nieboszczyka ziomkom, nie stracili oni kilkudziesięciu na kupienie mu własnego grobu, ażeby się nie poniewierał i nie potrzebował dla swych kości żebrać o przytułek. Wstyd, paskudny wstyd, który co prędzej zetrzeć należy.

Posel Prawdy.

Z D A L A.

Dwa przesilenia. — Ministerium rolnictwa. — Zjazdy rolnicze. — Januś o handlu ruskim. — Nowa era w ubezpieczeniach przeciwożniowych.

W łonie gospodarczego organizmu Rosyi powstały aż dwa przesilenia, bardzo różne w skutkach dla ludności. Jednem z nich jest zastój w przemyśle naftowym, drugim — przełom w produkcji lnu. Zatrzymajmy uwagę wprzód na pierwszym. W czasie największego wywozu nafty na rynki zewnętrzne utyskiwania przedsiębiorców na zastój właśnie wyrażało się najwyższą nutą. Dane urzędowe stwierdziły, że od 1 stycznia do 1 lipca 1890 roku wywieziono z Batumu wytworów naftowych 24,100,327 pudów, podczas gdy w tymże czasie zeszłego roku zbyt wynosił 19,476,676 pudów. Naftowcy nie przecząc temu faktowi, dowodzą, że przesilenie w ich przemyśle istnieje. Cyfry wskazują tylko pozorną pomysłność lecz po za sobą ukrywają — ruinę!.. Czem się to dzieje? Jak tę sprzeczność pogodzić? Tłomaczą oni ją naturalnie kursem rubla — ten biedak dziś wszystkie grzechy na siebie przyjmuje, nawet niedołęztwo wytwórców i chciwość kupeców. Otóż wzrastającemu wywozowi nie można wierzyć — powiadają ofiary rynku światowego: ruch ten jest to tylko refleks wywołany w okresie wysokich zysków — kadłub tylko się miotła, choć głowę dawno już zdjęło współzawodnictwo amerykańskie i psoty zwyżkowców giełdowych, spekulujących na kursie rubla. Przemysłowcy naftowi pozawierali kilkoletnie umowy na dostawę wtedy, gdy olej skalny (naftę rodzimą) płacono po 4 — 5 kop. za pud. Dziś cena tego produktu spadła wraz z popytem na niego, wzrosła zaś równocześnie z tym ostatnim na naftę źródłaną, cenioną po 7 kop. za pud. Ci zatem, którzy eksploatują tylko ropę naftową, będąc związani umową, muszą kupować droższy wytwór od szczęśliwych jego posiadaczy, ze-

by w ten sposób dotrzymać przyjętych na się obowiązków. Naturalnie, iż zamiast zysków — ponoszą straty. Jednym z zewnętrznych objawów zastoju jest ta okoliczność, iż przeszło 1,000 wagonów-cystern, skutkiem braku ładunków, stoi na stacyach kolei żelaznych bezczynnie. Są to pierwsze następstwa wygasania umów, które dotąd powodowały przymusowy przewóz nafty. Za tem ma wkrótce według zapewnień przedsiębiorców pójść całkowite ustanie ruchu wywozowego. Najbliższe ogniwo łańcucha wymiennie-wytwórczego dotkniętej przez zastój gałęzi produkcji, właściciele wagonów-cystern — zaczyna więc już doznawać skutków zakłócenia. Nie wiedzą oni, co mają robić ze swoim bezczynnym taborem przewozowym i są w kłopotie, bo za postój na stacyach muszą płacić karę, 1½ kop. na dobę. O ile w okresie ożywienia toczyli żąrtatą walkę między sobą o posiadanie wagonów, ściągali je nawet do siebie za pomocą premii, o tyle dziś za pośrednictwem tychże samych premii radziłyby je komukolwiek narzucić do użytkowania. Żalossne skargi przemysłowców naftowych biją ku sferom rządzącym, błagalnie wyciągają się ręce, usta wymawiają słowa prosby. Nigdy przysłowie: „kiedy trwoga, to do Boga“ nie mogło znaleźć świetniejszego zastosowania. W innym czasie ci sami panowie wyznawaliby gorliwie zasadę wolnego handlu, ale dziś interwencja władzy nabiera szczególnego znaczenia. Rząd jednak, widząc wzrost wywozu, cen na odpadki naftowe i niewielkie koszty produkcji, nieufnie przygląda się tym umizgom. „Te skargi, — powiadają *Rus. Wiedomości* — koniecznie należy w danym razie przyjmować ostrożnie i wprzód zanim będą użyte środki zaradcze, wypada zbadać, o ile trudności przemysłu naftowego zależą od przyczyn, spoczywających po za sferą oddziaływania państwowego, tj. w tej dziedzinie wolnej walki interesów, na którą tak chętnie powołują się przemysłowcy, ilekroć idzie nawet o zupełnie legalną i bezwarunkowo niezbędną postać interwencji państwowej.“ Bliższe zbadanie stanu rzeczy może nam wyjaśnić wiele zakulisowych czynników zjawiska: może nawet dowiemy się, o ile były celowemi rozpuszczane w swoim czasie przez naftowników wieści o wyczerpaniu się kopalni kaukaskich i czy przypadkiem nie był to jeden z prywatnych środków sztucznego wyrubowania cen?

Przesilenie naftowe ma tę dobrą stronę, że sprzyja poniekąd interesom spóżywców, ale lniane jest groźną klęską dla drobnej produkcji rolnej. Wybuchło ono jeszcze w r. 1885, trwa więc aż 5 lat już. Najwięcej od tej plagi gospodarczej ucierpiał gubernie: mohylewska, witebska, smoleńska i pskowska. W pierwszych dwóch największej dotknięci zostali starowiercy. Ceny lnu spadły, a zatem ludzie, zostający w stosunku dzierżawczym do właścicieli ziemskich, utracili możność uiszczania się z czynszu i są z gruntów zajmowanych wypędzani. Tę stronę kwestyi skwapliwie wykazuje w swoim organie słynny Okreje (*Eucis*). Głównemi przyczynami zastoju lnianego naturalnie w pierwszym rzędzie jest kurs rubla, współzawodnictwo dżuty, oraz upadek przedsiębiorstwa i taktwa lnianego — a najbardziej niesumienność i zła organizacja handlu wywozowego obok nieuctwa przekupniów i miejscowych „kułaków.“ Tak przynajmniej według dyagnozy „ujawniciela“ (obliczycel) Okrejeja.

Sprawa ministerium rolnictwa nie schodzi ze szpalt prasy ruskiej. Teraz myśl o tej instytucji rozwijana wprzód przez stołeczną — przeszła do prowincjonalnej i tam w dalszym ciągu jest rozwałkowywana. Niewątliwie wyrasta ona z gruntu stosunków ekonomicznych kraju, dostatecznie już dojrzałych na przyjęcie jej w postaci konkretnej; dotychczas jednak, jak widać z niektórych pism ruskich, najgłówniejszą ini-

cyatorką tej ważnej i pożądanej magistratury — jest opinia publiczna.

Prawdopodobnie, gdy przyjdzie do skutku, energiczniej ono poprze interesy rolnictwa. Ale i dziś już, za sprawą departamentu ministerium dóbr państwa, wytwórcy zboża otrzymali podarunek — w postaci zjazdów rolniczych powiatowych. Przy sposobności pomówimy o nich obszerniej, na teraz wystarczy wzmianka pobieżna. Zjazdy te, zbierając się dwa razy do roku, wydzielają będą z siebie biuro czynne, które, pomieszczone w mieście gubernialnem w celu ujednolinitania czynności zjazdów, pośredniczyć będzie zarazem między wyższymi władzami administracyjnymi. Z tą instytucją, mającą funkcyonować od przyszłego roku, rolnicy ruscy otrzymają możliwość rozwijania samopomocy w dziedzinie spraw swojego zawodu.

Januż w *Ruskich Wiedomościach* rzuca kilka promieni światła na zakulisową stronę handlu ruskiego. Uderzyła go jedna okoliczność, której przyczynę usiłuje sobie wyjaśnić, mianowicie to, iż między wahaniami kursu rubla — zwyżkowemi i zniżkowemi, a cenami towarów wwozowych zachodzi niewłaściwy stosunek. Gdy w r. 1887 skutkiem krucjaty giełdowej Bismarcka kurs rubla spadł o 15%, w takim samym stosunku i *natychmiast* ceny na towary kolonialne, szczególnie w handlu detalicznym zdołały podskoczyć. Naodwrot, obecna zwyżka rubla wraz z upadkiem cła wwozowego (przed zastosowaniem znanej noweli taryfowej o 20%), zwyżka sięgająca 30%, a zatem podwójna, okazuje się bezsilną, żeby wywrzeć odpowiedni wpływ w kierunku zmniejszenia cen większości towarów. To upoważniło ekonomistę do postawienia następującej formuły: „Rubel spada, cła wznoszą się — ceny wytworów idą w górę; rubel urasta, cła spadają — ceny zostają te same, tj., zawsze zyskuje kupiec, a traci — spóżywe.“ Szukając tak dziwnie nie logicznego zjawiska przyczyn, przychodzi p. Januż do wniosku, że leży ona w naturze wewnętrznego handlu krajowego. Jest on, zdaniem jego, źle działającą, przestarzałą machiną, która natrafia na niemogących stawić żadnego oporu spóżywców. Ci ostatni, dzięki swej niespójności i rozproszonemu, nie mogą poskramiać chciwości przekupniów. Nadmiar drobnych sklepów po miastach (np. w Moskwie, Petersburgu) i brak przeciwwagi w stowarzyszeniach spóżywczych oraz wielkich ześrodkowanych sklepów detalicznych — oto są warunki powodzenia kupców kosztem konsumentów. Innej rady na to nie widzi ekonomista, tylko w rozpowszechnieniu w swoim społeczeństwie spoidel spółdzielczości i centralizacji handlowej na wzór paryskiego *Magasin au Bon Marché*.

Kapitałisci ruscy obchodzą święto wyzwołu kraju w zakresie ubezpieczenia przeciwogniowego od zagranicy. W Petersburgu powstają jednocześnie aż dwa towarzystwa, mające na celu reasekurację. Ogarniać one mają całe państwo, a dążą najprzód do wydarca zagranicy zyskowej czynności reasekuracyjnej, niepodzielnie dotychczas wzbogacającej ją, a następnie, zdaje się głównie — do przysporzenia rodzimemu kapitałowi możności wzrastania w tej dziedzinie życia ekonomicznego, gdzie on dotąd nie mógł wzrastać... To moje twierdzenie nie jest osamotnionem, mam pod tym względem sprzymierzeńca w gazecie *Dień*. Oto, co on mówi: „Myśl reasekuracji sama przez się bardzo sympatyczna, a urzeczywistnienie jej bardzo pożądane, ale ustawy świeżo zatwierdzonych dwóch towarzystw niestety zapowiadają mało troskliwości o korzyści i potrzebach społecznych. Pragnąc przedewszystkiem współzawodniczyć z reasekuracją zagraniczną, nowe towarzystwa nie zaprzatają się wynalezieniem sposobów uprzywilejowania jej lub zapewnieniem większych korzyści i rękojmi ubezpieczającym się, lecz wprost pokładają nadzie-

ję na prawodawczym zakazie reasekurowania się za granicą.“ Właściwie więc miejsce zależności zewnętrznej zajmie monopol krajowy, który potrafi okiełznać chyba tylko rozwój stowarzyszeń asekuracyjnych, opartych na zasadzie wzajemności.

Z. Atanazy.

O PRAWDE.

Jakkolwiek we wzmiance naszej o stosowaniu niewypróbowanej metody Brown-Séquarda przez d-ra Kadlera pozostawiliśmy naukowy sąd o niej specjalistom i oparliśmy się na zdaniu *Kroniki lekarskiej*, która to postępowanie nazwała „wyzyskiem“, pomieszczamy jednak odpowiedź oskarżonego, gdyż żali on się, że mu trzy pisma przyjął jej nie chciały. Naturalnie odpowiedzi tej nie poręczamy solidarnie z autorem.

Kiedy Harvey odkrył krążenie krwi, potwarczy wykluczyli go z Towarzystwa Lekarskiego i napiętnowali mianem oszusta; podobny los spotkał i największego dobroczyńcę ludzkości, wynalazcę środków niezczulających i ból kojących. Nie dziw więc, że i metoda Brown-Séquarda, najgenialniejszego (? *Red.*) dziś fizjologa, szczuta jest u nas przez rozmaitego pokroju rycerzy. Dziwić tylko może, jak *Prawda*, nie wiedząc „ile w przypuszczeniu tem“, że metoda Brown-Séquarda „pokrzepia siły i do pewnego stopnia odnawia, jest rzetelną prawdą“, nieświadomością swoją uogólnia i głosi, że tego „nikt powiedzieć nie może, gdyż ono nie przeszło przez ścisłą krytykę i doświadczenie.“

Że metoda Brown-Séquarda przeszła już zwycięzko (? *Red.*) próbny ogień naukowej kontroli i że po stronie jej stanęła już znaczna liczba powag naukowych, profesorów uniwersytetu i pism lekarskich, dowodem tego są prace profesorów: Maireta, Rogers'a, Villneuv'a, Charcota, Kosturina i wielu innych. Liczba prac znanych mi, a dotychczas kilku dziesiątek, powiększyła, jak o tem świeżo donosi mi listownie Brown-Séquard spostrzeżenia włoskich lekarzy Liberto, Luigi i Enrico, zamieszczone w „*Progresso Medico*.“

Lecz nietylko klinicyści i lekarzy praktyków metoda wspomniana pobudziła do licznych badań, ale była ona przedmiotem poważnych dyskusji różnych Towarzystw lekarskich. I tak, d. 27 marca r. b. lejbmedyk Roszczyński, na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego petersburskiego, zdał sprawę z otrzymanych przez siebie pomyślnych wyników zastrzyknień — na ostatnim zaś kongresie lekarskim w Berlinie, dr. Wiktorow z Moskwy zakomunikował pomyślnie rezultaty swych spostrzeżeń. Jak widziły więc, kwestya zastrzyknień Brown-Séquarda nie jest tak nowa i przeszła już „przez ścisłą krytykę i doświadczenie.“

Co się tyczy samej metody, to ta nie jest bynajmniej dzieckiem ślepego trafia, ale opiera się na ścisłym badaniu, na podstawie naukowych wniosków i doświadczeniu. Wpływ gruczołów testykalarnych na centralny system nerwowy stał się punktem wyjścia do poszukiwań na tej drodze. Doświadczenia na zwierzętach, następnie z największą sumiennością niezliczone badania dla skontrolowania tychże w pracowni fizjologicznej dokonane, a w końcu gdy i te daty (?) jak najlepsze rezultaty doświadczenia na ludziach, zdumiewając w wielu razach swymi wynikami i przez wielu lekarzy potwierdzone, oto naukowy rymsunek, z jakim Brown-Séquard wystąpił przed światem lekarskim, zachęcając lekarzy do dalszych badań i poszukiwań. Wyniki swych doświadczeń zakomunikował on na posiedzeniu Towarzystwa biologicznego w Paryżu d. 1 lipca roku zeszłego. Ponieważ sama kwestya jątrzyła ciekawość i wysza od uczoności tej miary, co Brown-Séquard, nie dziw więc, że niezliczona ilość lekarzy obu półkul świata wzięła się do badań w tym kierunku. Ze skutkiem badań tych zebrala się znaczna liczba spostrzeżeń, zbytecznem byłoby dowodzić.

Na zasadzie więc jakich danych *Kronika lekarska* mogła przyjąć do wniosku, że zamato dotąd mamy spostrzeżeń, abyśmy metodę Brown-Séquarda mogli stosować w praktyce? I co ją wreszcie mogło upoważnić do sformułowania inkriminacji, obrażającej nie już jednostkę, ale całą (?) korporację lekarską, to jest zgola niezrozumiałem, a przynajmniej przyczyn nie chce tutaj roztrząsać. Bo, że *Kronika lekarska* ma „za mało spostrzeżeń“, albo raczej wcale ich nie ma, to jeszcze nie dowód, ażeby nauka ich nie posiadała. Władze też lekarskie na całym świecie pozwalają stosować u chorych metodę Brown-Séquarda. Tak więc kłamstwem jest, jakoby „lekarze“ uznawali metodę tę „za niewłaściwą“. Czy to *Kronika lekarska* obejmuje całość wyrazu „lekarze“? Są to tylko pewni lekarze. Lekarze wielkiego świata nauki, prawdziwi medicy, widzą tę metodę stosowaną w wielkich ogniskach ludności i... nie srożą się, nie wołają na wykonawców władze lekarskie, aby lekarzowi zabroniły praktyki, nazywając ją „wyzyskiem.“

Dr. Kadler.

W związku z tą odpowiedzią, że „zdziwieniem“ d-ra Kadlera nad naszą pochopnością w zawierzeniu *Kronice lek.* i że „zwyciężkiem przebiegiem próbnego ognia“ me-

tody, pozwolimy sobie przytoczyć przebieg procesu, jaki niedawno rozstrzygnięty został w Petersburgu. Znany chemik i aptekarz tamtejszy dr. Pohl, oskarżył swego współpracownika, Frenkla z Warszawy o skradzenie z jego laboratorium 1,7 grama „sperminy“, ulepszonego środka odmładzającego Brown-Séquarda. Powód zyskał dla swego preparatu wielką sławę i sprzedawał gram po 88 rs! Ogłosił on cały szereg cudownych wyleczeń, ale sprawozdanie jego na kongresie lekarskim w Berlinie przyjęto z wielką niewiarą.

Po powrocie do Petersburga dowiedział on się, że Frenkel, który zarządzał jego pracownią, opuścił ją, przekonawszy się, że „sperminy“ nie otrzyma, a w wyrabianiu drogo sprzedawanego środka d-ra Pohla współdziałać nie może. Ponieważ zaś zabrakło częstki tego produktu dla przedstawienia go osobom kompetentnym, więc dr. Pohl oskarżył go o kradzież. Strony stanęły przed sądem, jako *corpus delicti* — małego flaszeczka, jako świadkowie — profesorowie medycyny, chemii i fizjologii. Prof. Trapp oświadczył, że w nauce istnieje dokładnie określenie „sperminy“, któremu wszakże zawartość flaszeczki nie odpowiada: jest to bowiem tylko błoto bez żadnej wartości. Potwierdzili to: prof. Konow, Anrepp i inni. Ponieważ ostatni złożył najpochlebniejsze świadectwo o Frenkle, z którym przekonał się, że sprzedawany przez d-ra Pohla produkt nie jest żadną „sperminą“, przeto sąd uwolnił oskarżonego od wszelkiej odpowiedzialności. *Red.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej otworzyła kredyt do rs. 171 miesięcznie, przeznaczony na opłacanie wpisu za córki urzędników kolejowych, kształcących się na pensji w Sosnowicach. Tak sam kredyt dawniej przyznano dla synów urzędników, uczących się w tem mieście.

— Rząd wyznacza następujące zapomogi: dla Towarzystwa szerzenia nauk technicznych w Moskwie 3,000 rs.; dla ruskiego Tow. technicznego, na szkoły rysunkowe i warsztat ślusarski 12,000; dla Akademii nauk na wydawnictwo dzieł naukowych 5,000 rs.

— Kasy oszczędności w Rosji znacznie się rozwijają. Z końcem lipca r. b. wszystkie te instytucje w Cesarstwie miały 718,963 uczestników, posiadających kapitału 137,663,256 rs. Kasy pocztowe wykazały w końcu lipca uczestników 11,369 z kapitałem 611,902 rs.

— Rada m. Lwowa uchwaliła podatek spadkowy na rzecz biednych i zakładów dobroczynnych w stoku 5%.

— Kandydaci notaryalni w Galicji wnieśli podanie do ministerium o pomnożenie posad notaryuszów w miastach, gdzie istnieją sądy kolejalne.

— W Pełplinie powstało Towarzystwo ludowe.

Szkoły. Wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego liczy obecnie 576 studentów, prawny 360, fizyczno-matematyczny 137, historyczno-filologiczny 50.

— W r. b. w Nowej-Aleksandryi (Puławach) wykłady odbywają się tylko na dwóch kursach ostatnich Instytutu rolniczo-leśnego, gdyż po upływie dwóch lat zakład będzie zamieniony na Akademię agronomiczną o 4 ch kursach. Ogólna liczba słuchaczy obecnie 130.

— W okolicach Poniewieża w majątku Murowany Poniemuń właścicielka otworzyła szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt. Oprócz przedmiotów teoretyczno-elementarnych program obejmuje: roboty ręczne, mleczarstwo, kucharstwo, pranie krawiectwo.

— Dla Instytutu Muzycznego w Warszawie przeznaczono na rok przyszły zapomogę w sumie 7,600 rs.; dla Konserwatorium petersburskiego 15,000, moskiewskiego 20,000; dla szkół muzycznych w Kijowie, Charkowie i Tyflisie po 5,000 rs.

— Jedna z uczennic paryskiej szkoły handlowej wniosła podanie o pozwolenie otwarcia takiego zakładu dla kobiet w Warszawie.

Komunikacje. Budowa nowego kanału tudzież regulacja koryta Dżwiny Zachodniej i Dniepru kosztować będzie 10,000,000 rs.

— W sprawie bezpłatnych przesyłek rządowych dano odmowną odpowiedź. Tylko instytucje dobroczynne mogą korzystać z tego przywileju.

— Roboty około przekopania kanału pomiędzy Kielem a Kugshaven, mającego połączyć morze Bałtyckie

z Niemiec prowadzone są bardzo szybko. Przysiępują już obecnie do budowy szluz. Kanał ukończony będzie zupełnie za lat 4. Budowę rozpoczęto r. 1886.

Wystawy. W Kownie odbyła się z powodzeniem wystawa koni.

— W Kamieńcu Podolskim odbędzie się w r. p. wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Paryżu centralne Towarzystwo ogrodnicze otworzyło wystawę. Wartość produkcji ogrodniczej we Francji wynosi rocznie 902,000,000 fr.

Zjazdy. W końcu zeszłego miesiąca w Jenie odbył się zjazd nauczycieli matematyki i nauk przyrodniczych w szkołach niemieckich.

— Na rok przyszły zapowiedziano w Wiedniu międzynarodowy kongres geograficzny.

Sprawy literackie. W Kijowie powstaje specjalny tygodnik: *Profesjonalna szkoła*.

— W Londynie zaczął wychodzić dwutygodnik *The University Correspondent*, organ uniwersytetu miejskiego. W program nowego pisma wchodzi sprawy wychowania i oświaty.

— Po śmierci Gregorowicza redakcję *Przyjaciela dzieci* objęli przeważnie pedagogowie. Główny kierunek powierzono p. Gębarskiemu.

— *L'Argent*, najnowsza powieść E. Zola zaczęła wychodzić od 1 listopada w jednym z dzienników paryskich.

Bibliografia. M. Konopnicka, *Moi znajomi*, zbiór nowel, str. 318, Warszawa Gebethner i Wolff.

— K. Richet, *Zarys psychologii ogólnej*, tłum. Anna Leska, str. 200, Kraków Gebethner.

— B. Grabowski, *Boruta*, dramat z podań ludowych, str. 187, Gebethner.

— *Prace matematyczne*, wydawane przez J. Dicksteina, W. Gosieńskiego, E. i W. Natansonów, tom II, zes. 2, Warszawa.

— F. Walczakiewicz, *W 450-lecie wynalezienia druku*, str. 44, Warszawa.

— J. Unger, *Kalendarz* ilustrowany na r. 1891.

— *Bqk*, kalendarz humorystyczny, ilustrowany.

Zmarli. Aleksandra Marczeńska w Przedborzu; autorka ludowa.

— Paweł Sayer, w Monachium; rzeźbiarz.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w artykule „O konkurs“, zamiast r. 1889, powinno być 1890.

O G Ł O S Z E N I A.

P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący
w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasińskiego
Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.

Do nabycia we wszystkich księgarniach EDWARDA BOGUŚLAWSKIEGO

Historia Polski	rs. 1 kop. 20
Moja Historia Polski i jej Krytycy	30
Historia Słowian	4 „
Obrona mojej Historii Słowian contra prof. Brücknera	25
Jeszcze słówko do p. Brücknera	20
Historia Słowian przed sądem w Berlinie	20
Szkice Lito-Windyjskie, I, Lito-Windyjskie i Windyjskie nazwy gór, rzek, jezior i osad w Europie	30
Słowno o racjonalnej grafice polskiej	15

Nowelle A. L. Kiellanda

1/ Paryż, 1890. Cena kop. 15.
Skład główny w księgarni G. Centnerszvera.

Nadesłano z Paryża do G. Centnerszvera (Marszałkowska) na skład główny
DRUGI TOM

Pism pomniejszych Karola Marxa

zawierający: „Osiemnasty Brumaire’a Bonapartego.“

Cena we wszyst. księgarniach kop. 50.

Polecamy jednocześnie inne książki tegoż zagranicznego wydawnictwa:

K. Marxa. I-y tom Pism pomn. rs. 1.

F. Engelsa. Początki cywilizacji rs. 1.

L. Winiarskiego. Społeczne stosunki

Angli, kop. 50. (Dzieło oryginalne nader

samodzielnego umysłu).

E. Haackla. Królestwo pierwotniaków,

wspaniałe lipskie wydanie Brokhausa

na welinie z licznymi ilustracjami, cena

tylko rs. 1.

Sprzedaż

Chustek wełnianych, Płótna, Barchanów kolorowych, Perkali, Haftów.

Br. Jabłkowski, Hoża Nr. 14.

Skład Główny Warszawskiej Fabryki Lamp

R. DITMAR

Warszawa, Trębacka 4,

poleca na nadchodzący sezon

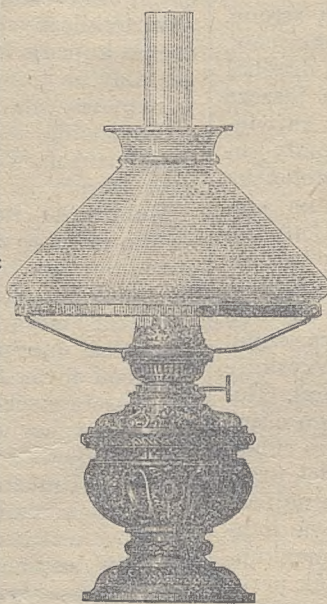
LAMPY

najróżnorodniejszych i najnowszych fasonów od zupełnie skromnych aż do najwykwintniejszych, oraz

Wyroby Metalowe i Majolikowe

artystycznie wykonane, w wielkim wyborze.

Warszawa, Trębacka Nr. 4, dom Tow. Akc. K. Scheibler.



BIURO BANKOWE Gazety Losowań

w Warszawie, Krakowskie-Przedm. Nr. 51, I-e piętro.

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów. Przekazy na wszystkie miejscowości w kraju, Cesarstwie i zagranicą. Zaliczenia na papiery publiczne z terminem stałym i bez terminu. Rachunki przekazowe i lokacje terminowe. Inkasa weksli w kraju i zagranicą. **Bezpłatne** informacje ustne i piśmienne we wszystkich sprawach pieniężnych.